



a w mieście
zastrzelili
ludzi **8-9**



faul Kusego **14**



stadion
w
Białymsto-
ku **10**

Cz. Miłosz
noty
o wygnaniu **12**



KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

28

(55)

KONTAKTY

19 VII 1981

Cena 6 zł



porażeni czarną nóżką

WŁADYSŁAW TOCKI

POLSKI DYLEMAT NADZIEJE I ZWĄTPIENIA

kapryśne dziecko lud

Prof. JERZY SZACKI

Niepokój i nadzieja. Mówiąc o Polsce współczesnej nie można obejść się bez tych dwóch słów. Niepokój narastał od lat, nadzieja powstała — w każdym razie dla mnie — latem 1980 roku. Jeżeli żywiłem ją od czasu do czasu wcześniej, to bez żadnych rozsądnych powodów — tylko dlatego, że nie sposób było zaiste wierzyć w trwanie bez końca całego tego absurdu. Świat w jakim żyliśmy był tak nieprawdopodobny, że zdrowy rozsądek kazał oczekiwać zmiany. Wierzyłem więc, że wcześniej lub później coś musi się stać. Nie tylko ja. Coraz rzadziej spotykało się ludzi, którzy bezinteresownie i serio broniliby *status quo*. Bywałem w różnych środowiskach i odkrywałem nie bez zdumienia, iż w krytycyzmie są one w istocie jednomyślne, różniąc się tylko tym, czy dają mu publicznie wyraz. Powstał system polityczno-społeczny bez zwolenników, chociaż — jak wiemy — nie brakowało ludzi, którzy żyli z jego obrony i to żyli tak dobrze, że wierzyć się nie chce. Ale była to coraz częściej sprawa sposobu zarabiania na życie, nie zaś sprawa przekonania. „Jak długo taki system może istnieć?”. Od czerwca 1976 roku py-



22 lipca Święto Odrodzenia

— nadzieja trwałego powrotu do źródeł

Jako równolat Ojczyzny Ludowej miałam zawsze wystrzoną wrażliwość i Święto Lipcowe starałam się widzieć bliżej. Ale długo przez białoczerwone barwy nie docierało do nas nie poza patetycznym, szeregim szeregiem zetempowców — białe pegi, zielone koszule i czerwone krawaty — i ryczących poprzez skwar magnetofonów. To idzie młodość, młodość... Przeglądaliśmy się temu z ogłupiającą dziecinnością. Chociaż święto manifestowało się dla mnie nieco wcześniej. W przededniu sklepy bogaciły się w towary, było obficie, nie musiałam wystawać za codziennością w przydługich ogonkach. Zaraz, zaraz, w którym to roku ustawiałam się w kolejkę po raz pierwszy? Ustawialiśmy się wtedy bez szemrania, bez złorzeczenia komukolwiek, bo „ogonek” miał placet wojennego ubogiego kraju. Te kolejki skończą się szybko — no, nie tak szybko, jak powszechne zbieranie tubek po paście do zębów, bo potrzebny metal; czy kartki na mięso i tłuszcz — ale już, tuż w niedalekiej przyszłości.

W barwę ochronną lipca 1956 roku wciskał się poznański ezerwiec. Były to wówczas moje pierwsze wakacje nad morzem. Przyznam się szczerze, że czołgi z cichutko szepta-

nych relacji rówieśnicy-poznanianki świdrowały bardzo mocno w widokówką panoramę morską. I właśnie te czołgi, a nie statki na nabrzeżu zapamiętałam najbardziej. Tego roku chyba święta nie było.

Miałymy wtedy po dwanaście lat. Chociaż niezupełnie. Ty chciałaś urodzić się na nowo i próbowałaś wejść bez koturnów na nową drogę. Ja ledwie zaczęłam edukację, już musiałam uczyć się od nowa; że to co

witaj nam Polsko!

zostało napisane, nie zawsze zostało powiedziane. Złożone dumnie przyrzeczenie harcerskie przestało być ważne. Trzeba od nowa, bo tamto pełne było błędów i wypaczeń. Jakże tak? Słowa są przecież takie same — Ojczyzna, praca, i ja — przyszłość narodu.

Święto Lipcowe znów powróciło w całej gali — łomotem pojazdów wojskowych; mocnego, zwartego żołnierskiego szeregu. Myśmy wtedy zamykali te parady. Manifestowaliśmy w białych tenisówkach, białych koszulach i czerwonych krawatach. Naprzód młodzieży świata! Naszym lipcowym punktem wędrówek powielokroć był Chełm, miejsce Twoje uro-

dzenia, pierwsze wyzwolone miasto. Później dopiero wyczytałam w dokumentach, że tym pierwszym miastem była Hajnówka. Co wcale nie zmniejszyło mojego sentymentu do Chełma.

Tylko że co roku macie nam w głowach przeróżne naj... z obficie nafaszerowanych przemówień. Mówimy, że sukces to wymysł propagandy lat siedemdziesiątych. A lata sześćdziesiąte? Każda prawie in-

westycja, zakład — był największy, najnowocześniejszy: w kraju, w Europie (niepotrzebne skreślić). Każda gałąź przemysłowa rozwijała się jak nigdy dotąd, wykonywała niebawmy skok. Do góry czy z gąłczy na ziemię? Dystans dzielący nas od krajów wysoko rozwiniętych z każdym dniem malał. Już w 1963 roku przeszło 46 procent polskich rodzin posiadało pralki, podczas gdy w NRF — 27 proc., we Francji 27,2 proc. A jakie to były pralki? Na najmańszej glebie rosła nam pszenica, a jak wydajność pracy? Nas uczono przy okazji nie całkiem świątecznych wizyt; „Czy się stoi czy się leży 2 tygodnie w kieszeni bieży”; „Co ja frajer! Nie będę się przemęczał”.

Ona miała 20 lat, eksponowała jak ja swoje zalety, w belkocie statystycznym skrywając robota, co się już wtedy załagał. Na różne oficjalne przywdziewała maskę wymodelowaną od święta. Pucowała kilka pokazowych stanowisk pracy, a brudną ładną codzienność chowała w pakamerze. Fotomontaż w czarno-białym kolorze. Tyle że granica między uczciwymi i karierowiczami robiła się coraz wyraźniejsza. Łatwej lekcji życia udzielali ci na karuzeli, co w miejsce kwalifikacji przedstawiali ordery, legitymacje. Głową medali nie przebijesz — przemawiało pokolenie obojętne.

Ale ostali się i tacy, którzy sobie i tobie zadawali coraz więcej pytań, coraz ostrzejszych. Ich nie zadawała odpowiedź: — To dziejowa konieczność; Daliśmy wam takie możliwości i czym odpłacacie? Postawili zasadnicze pytanie: Jak długo tak dalej? Już nie czekaliśmy na odpowiedź. Udzieliliśmy jej sami.

Jak co roku wyciągam rękę na powitanie tej samej, choć nie do poznania innej; wierząc, że nowym Chełmem stanie się Zjazd zjednoczonej, odnowionej partii. Witaj nam Polsko!

ALICJA ZAGÓRSKA

z Łomży

NA PIERWSZYM po Wojewódzkim Zjeździe Plenum Związku Młodzieży Wiejskiej zatwierdzony został ramowy program działania odradzającej się organizacji. Główny nacisk położono w nim na moralną odbudowę życia na wsi i stworzenie młodemu rolnikowi warunków do życia i pracy na rodzinnej ziemi oraz walkę o uznanie gospodarstwa indywidualnego za trwały element naszego ustroju. Poczesne miejsce znajduje także kontynuacja akcji: „Każdy kłos na wagę złota”, „Zbieramy plony jesieni”. Plenum powołało Komisję Historyczną i przyjęło do realizacji wniosek Zjazdu o powołanie na Ziemi Łomżyńskiej Uniwersytetu Ludowego; przyjęło także propozycję przewodniczącego ZW ZMW Jerzego Dołęgowskiego, by etatowym pracownikiem organizacji został Jan Downar, jeden z wiceprzewodniczących.

Z UDZIAŁEM PROF. Bolesława Strużka dyrektora Instytutu Rolnictwa Światowego SGGW AR i członka Prezydium NK ZSL oraz kierownika Wydziału Zagranicznego NK ZSL, Jana Czai odbyła się w Wojewódzkim Komitecie ZSL narada prezesów Gminnych i Miejsko-Gminnych Komitetów Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego oraz wojewódzkiego aktyw tej organizacji. Przedmiotem rozmów były m.in. zadania dla rolnictwa wynikające z IV Plenum NK ZSL, funkcjonowanie samorządu rolniczego, aktualna sytuacja międzynarodowa.

MINISTER ADMINISTRACJI, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska wyraził zgodę na reaktywowanie gminy Przytuły. Ministerstwo Finansów zastrzegło jedynie, by taka reorganizacja dokonała się w ramach posiadanego budżetu i etatów w administracji województwa. To zastrzeżenie nie powinno jednak niepokoić rolników, bowiem chodziło tylko o to, aby mieć administrację bliższą ludziom i sprawną, ale nie kosztem jej rozrastania się. Wkrótce rozpoczyna się konsultacje prowadzone przez Urząd Wojewódzki i Urząd Miasta i Gminy w Jedwabnem w poszczególnych sołectwach, które winny zadeklarować swą przynależność do poszczególnych gmin. Informujemy ponadto, że Wo-

jewództwo Łomżyńskie Jerzy Zientara pozytywnie zaopiniował również wniosek byłej gminy Szczepankowo o jej ponowne usamodzielnienie.

W ŁOMŻY ODBYŁO SIĘ POSIEDZENIE Wojewódzkiego Komitetu Obchodów Międzynarodowego Roku Inwalidów i Ludzi Niepełnosprawnych, działającego przy WK FJN. Przewodniczącym jego pracy będzie dyrektor Zespołu Szkół Medycznych w Łomży, Jerzy Szymanowski. Na posiedzeniu przyjęto ramowy program obchodów Roku obejmujący popularyzację problemów ludzi niepełnosprawnych, oceny ich sytuacji społeczno-bytowej i aktywizacji działań na rzecz zaspokojenia ich potrzeb.

Podjęte będą również działania w celu zlikwidowania barier ograniczających zatrudnianie inwalidów w nieinwalidzkich zakładach pracy, stworzenie warunków do prawidłowego startu społecznego i zawodowego młodzieży, poprawy sytuacji mieszkaniowej, rozszerzenie akcji rekreacyjnych, ułatwiania inwalidom zaopatrywania się w podstawowe artykuły spożywcze i korzystania z różnych usług. Niektóre głosy w dyskusji: WANDA ZEJER (ZW PCK): — Zaden sklep w Łomżyńskim nie respektuje legitymacji sióstr PCK, na które mają one prawo kupować — dla podopiecznych o niezdolności ruchowej — artykuły pierwszej potrzeby, poza kolejnością. Sklepowe posadzają nas o oszukiwanie, chcą kupowania towaru poza kolejnością dla siebie. Dlatego pracownicy PCK po zakupie dla inwalidów muszą stać w kolejce po 3-4 godziny dziennie, bez żadnej gwarancji kupna. W innych województwach problem dawno rozwiązano, w naszym, o dziwo, nikt nie może; JACEK MIESZKOWSKI (Wojewódzki Architekt): — Mieszkania w blokach można dawać niektórym grupom inwalidów najwyżej na parterze. Nie ma szans na robienie podjazdów schodowych na piętra, ani na poszerzanie drzwi wewnątrz mieszkań. Standaryzacja elementów budowlanych uniemożliwia dostosowanie wnętrz mieszkalnych do faktycznych potrzeb niektórych grup inwalidzkich.

Ustalono, że następne spotkania, oceniające realizację programu, odbędą się w końcu września i w połowie grudnia.

powstającego muzeum wierząc, iż w przyszłości stanie się ono chyba największą atrakcją turystyczną miasta.

Propozycja „Kontaktów” — o czym donosimy z nieukrywaną radością — wywołała już zainteresowanie w Warszawie, Ostrołęce, Białymstoku i innych miastach. Doc. dr hab. Bronisław Gołębiowski z Uniwersytetu Warszawskiego zapowiedział przesyłkę z rzeźbami trzech bieszczadzkich biesów; Stanisław Parzykowski dyrektor WDK w Ostrołęce — rozpisał konkurs pod hasłem: „Motyw demoniczny w wychnance kurpiowskiej” (plon konkursu w całości trafi do naszego muzeum); Krzysztof Rau, dyrektor Białostockiego Teatru Lalek przekazał nam zasłużone dla Melpomeny diable, czarownice, strachy, zjawy.

Propozycję „Kontaktów” — czego się spodziewamy — poprą również inne placówki teatralne, a także graficy, rzeźbiarze, twórcy ludowi, zbieracze i hobbisi. Apelujemy o to! Li-

czymy na gest Czytelników; na pomysłówą szczodrość, która umożliwi powstanie muzeum.

Przypominamy: jeśli macie u siebie jakieś maskarunki, czarownice, drewniane biesy, strachy oraz pocztówki, znaczki, obrazy, mekiety, medale i legendy z nimi związane, przyslijcie je nam! Znajdziecie się w „Złotej Księdze” ofiarodawców. Równocześnie zgłaszajcie propozycje jak nazwać przyszłe muzeum. Dotychczas najwięcej głosów zdobywają nazwy: Muzeum Straszdeł Demonów i Niesamowitości i Muzeum Demonów, Strachów i Czarownic. Wybierajcie lub zgłaszajcie nowe propozycje.

Każdy wpis do „Złotej Księgi” wraz ze zdjęciem ofiarowanego eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów”. Oto pierwszy wpis do „Złotej Księgi”: Stanisław Zagórski, redaktor naczelny „Kontaktów”, inicjator i pomysłodawca powstania muzeum. Rodzaj daru: fajka z wizerunkiem diabła (zdjęcie), Łomża, 1. VII.1981 r.



Nowa inicjatywa „Kontaktów”. Unikalne Muzeum Straszdeł, Demonów i Niesamowitości w Łomży. Wkrótce pierwsze wpisy do „Złotej Księgi” ofiarodawców. Czekamy na kolejne dary.

Pomysł utworzenia w Łomży unikalnego Muzeum Straszdeł Demonów i Niesamowitości spodobał się wielu naszym Czytelnikom. Bardzo życzliwie potraktowało go Towarzy-

stwo Miłośników Ziemi Łomżyńskiej, które właśnie rozsyła wici do swych rozsianszonych po świecie członków, a także marynarzy statku „Łomża” — z apelem gromadzenia darów dla

zdarzenia

chłop za granicę nie wywiezie

WŁODZIMIERZ MICHAŁUK — I sekretarz KW PZPR w Łomży: — Podczas IX Nadzwyczajnego Zjazdu będę pracował w zespole, którego członkowie już w tej chwili zajmują się założeniami reformy gospodarczej. Wiadomo przecież, że w obecnej sytuacji nie można zbyt licznie na nagłą poprawę zaopatrzenia rynku. Na podstawie wyników produkcyjnych za I półrocze wnioskujemy, że dochód narodowy w bieżącym roku spadnie o 15 procent. Sądę, że na Zjeździe żaden z delegatów nie powinien nastawiać się na wyciąganie ręki do Państwa. Bo będzie to tylko narzekanie — bez rezultatów.

Dlatego też i swój głos w dyskusji skieruję przede wszystkim na te sprawy, które można ulepszyć i udoskonalić organizacyjnie; a w rolnictwie jest ich nadal bardzo dużo. Musimy także zastanowić się nad uproszczeniem spraw biurokratyczno-kancelaryjnych. Na załatwianie ich gospodarz traci cenne dni. Zechcę wygłosić taką tezę: stwórzmy rolnictwu korzystne warunki do rozwoju, a z drugiej strony — nie przeszkadzajmy rolnikom. Pomóżmy im na przykład w takich sprawach, jak wyrównanie dysproporcji w stosunkach wodnych. Ze względu na szczupłe możliwości finansowe trudno tu mówić o natychmiastowym zmeliorowaniu wielu tysięcy hektarów, ale przecież możemy przyczynić się do otoczenia należną gospodarską troską urzędów funkcjonujących. Usprawnić ich konserwację, coroczny przegląd

Przed półroczem zostały przyjęte przez KC PZPR i NK ZSL wytyczne w sprawie rozwoju rolnictwa i przyspieszenia wyposażenia go w niezbędne środki do produkcji rolnej. Dokument został przyjęty do wiadomości przez wszystkich, a jeszcze dziś większość zakładów nie przystąpiła do jego realizacji. Przecież naszej wsi brakuje w tej chwili podstawowych narzędzi, środków chwastobójczych. Przemysł maszynowy, przemysł chemiczny zdrzemnął się chyba trochę

Weźmy chociażby kontraktację. Już od początku wyrażałem się o niej negatywnie. Jestem zdania, że państwo powinno kontraktować tylko te plody rolne, których mamy niedobór, a nie — wszystko. W tej chwili, kiedy wiadomo, że rynek wchłonie każdą ilość produkcji rolnej, po co sobie robić dodatkowe kłopoty, spisywać umowy kontraktacyjne, zatrudniać kontrahentów, jeśli to mija się z celem? Ich praca utrudnia jeszcze życie rolnikom, skłóca ich. Nie sprzyja rozwojowi rolnictwa. Wiadomo przecież, że tym, którzy mają umowy kontraktacyjne przysługują różnego rodzaju bonifikaty w postaci mieszanek pasz, nawet węgla. A jeśli przejrzymy statystyki, to zauważymy, że płodów rolnych spływa do naszych punktów skupu wielokrotnie więcej. Pozostali, tak samo pracujący, są pokrzywdzeni w przyznawaniu bonifikat. To trzeba jak najszybciej zmienić. Niech papier, zamiast na niepotrzebne umowy kontraktacyjne, idzie na podręczniki szkolne i prasę. Chłop, to, co wyprodukuje, na pewno za granicę nie wywiezie, lecz sprzeda państwu.

Moje wystąpienie musi zmieścić się w 15 minutach, dlatego mówię o sprawach najważniejszych. Jeśli pozostanie mi jeszcze kilka minut, zechcę poruszyć inne, również bardzo ważne problemy naszego życia codziennego; możliwości usprawnienia go poprzez udoskonalenie jego strony organizatorskiej.

IX Nadzwyczajny Zjazd musi uporządkować wiele decydujących spraw dla naszej partii, uwiarygodnić ją jako aktywną, prężną i twórczą siłę, inicjatorkę wyciągnięcia kraju z głębokiego kryzysu społeczno-politycznego i gospodarczego. Musimy wypracować znowelizowany „Statut”, czyli konstytucję wewnątrzpartyjną, w której muszą być gwarancje, że cyklicznie powtarzane

błędy już nigdy się nie powtórzą. W dokumencie tym musi znaleźć się należne miejsce dla leninowskiej proporcji między demokracją wewnątrzpartyjną a centralizmem demokratycznym.

Na efekty Zjazdu, linię naprawy Rzeczypospolitej, czeka cały kraj. Na skuteczność obrad liczą także bratnie partie polityczne. Nasze głosy muszą trafić w samą dziesiątkę, bo jak będziemy dyskutować, jakie podejmiemy problemy, taki wytworzy program działania.



wiejskie piramidy

STANISŁAW KASEJA, kierownik krochmalni w Zakładach Przemysłu Ziemniaczanego: — Być delegatem na IX Nadzwyczajny Zjazd mówi już samo za siebie. Rola niezmiennie zaszczytna i jednocześnie niezwykle trudna. Mandat zaufania przypadł nam bowiem w okresie szczególnie trudnym, skomplikowanym. Kraj tonie w długach, w sklepach pustki, a my mamy radzić, jak postępować, aby już nigdy tak w Polsce nie było.

Chciałbym na Zjeździe podjąć wiele spraw, ale trzeba w pierwszej kolejności mówić o tych, które są w tej chwili najpilniejsze. Jedną z nich jest zagwarantowanie podstaw prawnych i umożliwienie rozwoju drobnego przemysłu rolno-spożywczego w terenie. Prześledźmy — ile dziennie tracimy ton paliwa, części zamiennych; zużywamy niepotrzebnie tysiące samochodów po to, aby gdzieś do kombinatu dowieźć plody rolne. Wygląda to na prawdziwe błędne koło; zboże ze wsi wędruje do miasta — ile potrzeba rąk do załadowania go, wyładunku — z miasta zaś chleb wędruje na wieś, czemu nie można dłużej przyglądać się. Musimy w końcu poczuć się gospodarzami. To, co można, zrobmy od razu na wsi. I miejscowi się zaostrzą, i nie będzie takiej bieganiny. A ewentualne nadwyżki dajmy do sąsiednich regionów.

Na takie rozwiązanie tych problemów rolnictwo czeka już od dzie-

sięcioleci. Nie patrzmy na chłopą jak na zło konieczne. Niech się rozwija, a my pomóżmy mu w tym; bo od tego, ile on wyprodukuje, zależy zaopatrzenie naszych sklepów.

Łomżyńskie rolnictwo stoi. Aż się prosi, by ów drobny przemysł rolno-spożywczy rozwinąć na szeroką skalę. To my zrobiliśmy wszystko, aby nie istniał. Tłumaczyliśmy to: raz względami politycznymi, raz nieoptymalnością ekonomiczną. Teraz za-

pędziliśmy się w gigantomanię. Poprzestańmy na małym, lecz konsekwentnie, po chłopsku rozwijanym, a na pewno przyniesie to nam oczekiwane rezultaty. Bo nawet każda łomżyńska wieś jest zasobna. Potrzeba do tego tylko mądrej, ekonomicznej myśli — jak to przetworzyć z pożytkiem dla wszystkich, bez uprzedzeń. A w kraju takich województw są dziesiątki, a takich wsi — tysiące. Przestańmy wreszcie ludziom wmawiać klęski urodzaju i nieurodzą. Rozwińmy raz na zawsze, rozsądnie, po gospodarsku, problemy przetwarzania płodów rolnych i ich magazynowania, a przekonamy się, że żywności wystarczy każdemu. Naszej, krajowej, bez oglądania się na zagraniczną.

zacząć od etyki

MIECZYSLAW CZERNIAWSKI, I sekretarz KM i sekretarz KW PZPR w Łomży: — Biorąc udział w dyskusji IX Zjazdu chciałbym poświecić moje wystąpienie sprecyzowaniu istoty kierowniczej roli partii. Nie tej pisanej, zawartej w hasłach, ale poddanej próbie praktyki.

Podczas rokowań klasy robotniczej z rządem partia zajęła miejsce obok premiera, ministra, dyrektora. Nie po tej stronie powinna się znaleźć. Nie tak powinna wyglądać jej kierownicza rola. Za mocno połączyliśmy to określenie z pokrewnym „rządzeniem”, co doprowadziło do wyręczenia administracji i odpowiadania za jej błędy.

W programie, jaki podejmiemy na Zjeździe, musimy zejść na ziemię — nie uchwał, wytycznych i paragrafów, ale ziemie codziennych ludzkich stosunków międzyludzkich. Nie możemy mówić tylko o wielkiej polityce, ale także o żłobkach, przedszkolach, ośrodkach zdrowia. W latach siedemdziesiątych utarło się u nas dziwne powiedzenie: „Celem socjalizmu jest człowiek, tylko pytanie — który?” Partia musi wrócić do pełnienia swojej misji i stać się ostoją dla prostego człowieka.

Ile razy myślę o kierowniczej roli PZPR, zawsze zastanawiam się, w jaki sposób ma być ona sprawowana, aby była naprawdę demokratyczną i wolną od wypaczeń. I to zarówno w jej postaci organizatorskiej, programowaniu, funkcji kontrolnej, jak i polityce kadrowej. Jeden z warszawskich robotników powiedział w dyskusji: „Partia musi być naprawdę polską, naprawdę robotniczą i naprawdę zjednoczoną”. Podzielał to zdanie i ja. Aby była partią jakiej oczekujemy, musi być ponad urzędem i ponad administracją. Utarło się już u nas takie przekonanie, że I sekretarz wszystko może; tzn. przedzwonić do dyrektora i przykazać mu, do którego sklepu ma być chleb skierowany, komu przyznać mieszkanie, przydzielić samochód. Do wypaczeń takich dochodzi dlatego, że na partyjny i państwowy mechanizm kontrolny patrzyliśmy jak na jeża. I doszło do wypaczeń między innymi dlatego, że reprezentujący instancje partyjne ludzie cierpią na władzę. Szybciej zrobili z siebie świętych, do których należy modlić się i prosić o okazanie łaski niż autentycznych, społecznikowskich działaczy. Dlatego powiadam jeszcze raz: organizacja partyjna musi mieć możliwość rozliczania każdego członka partii; także prezydenta, ministra — za podejmowane przez nich decyzje, ale nie może ich wyręczać. Gwarancje do takiego postępowania organizacji partyjnych musi także zapewnić Statut PZPR.

Jestem zdania, że nie wszyscy wiedzieli, co to jest kierownicza rola partii. Jak ona powinna wyglądać w praktyce. Nie możemy się rozdrabniać i próbować być zdublowanym rządem. Do nas należy wytyczenie linii rozwoju kraju: zaopatrzenie rynku, polityka płac i stanie na jej straży, właśnie przez kontrolę. Musimy uczynić wszystko, aby tę niezbędną funkcję partii przywrócić. I to nie formalnie, biurokratycznie, lecz w podjętym na Zjeździe programie, a następnie konsekwentnej, codziennej jego realizacji. Bo jeśli to ważne strategicznie dla nas zadanie zostanie zaprzepaszczone, to wybrani przez nas ludzie znów zamkną się w swoich gabinetach z uszczelnionymi drzwiami i zapomną o stałym roboczym kontakcie z prostymi ludźmi, szeregowymi członkami partii. Rozpoczęta odnowa musi być procesem trwałym, jednak wymaga jeszcze szerszego omówienia i rozwiązania wielu ważnych problemów. Ot, chociażby: odnowa moralna. Zawężamy ją do ujawniania i likwidacji nadużyć, przestępstw. Są to przecież tylko skutki, a — jak na dobrego lekarza przystało — trzeba leczyć przyczyny. Partia musi wyjść do młodzieży z wartościowym programem wychowania; nie tylko w postaci dwóch słów: „moralność socjalistyczna”. Jest to równie ważnym zadaniem jak reforma gospodarcza.

Spraw takich — pilnych, wymagających natychmiastowego podjęcia i pilotowania ich — występuje w naszym życiu, także wewnątrzpartyjnym, bardzo dużo. Już teraz, po wojewódzkich konferencjach wyborczych niemal chętnie się, że zagwarantowaliśmy demokrację wewnątrzpartyjną. Jest to przedwczesna radość, bowiem demokracja w partii, ta odnowiona, wywalczona przez setki gardlujących na zebraniach POP szeregowych członków Partii, stanowi zaledwie jej zawiażanie. Jak — nowe, wybrane bez żadnych kluczy — władze partyjne będą traktować swoje funkcje, jak będą odnosić się do roli krytyki: Czy ją polubią, czy ją znienawidzą — od tego zależy demokracja w PZPR na co dzień. Myślę, że statut stworzy nam takie gwarancje, że — czy się komu podoba, czy nie — w każdej chwili będzie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności przez organizację partyjną. Inne wyjście naprawy życia w kraju nie ma.

Spisał STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

3
KONTAKTY
19 VII 1981

czym musimy powiedzieć



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

tanie to narzucało się coraz bardziej natarczynie. Sporadyczne próby naprawiania systemu powiększały tylko jego kompromitację, ujawniając uderzającą niewspółmierność owych żałosnych „manewrów” i zła, któremu miały zaradzić. Wszyscy, w gruncie rzeczy, wiedzieli, że kryzys jest tak głęboki, jak nigdy w przeszłości. Wiadomo było również, że nie jest to tylko kryzys gospodarczy, który może skończyć się po kilku latach urodzajów i poprawie koniunktury na zachodnich rynkach.

Świadomość kryzysu to jednak nie nadzieja. W każdym razie w Polsce, gdzie tak głęboka jest świadomość ograniczeń i zagrożeń wszelkiej autentycznej reformy. Pokolenia starsze i średnie mają za sobą niejedną gorzką lekcję, nade wszystko lekcję 1965 roku, kiedy to demokratyczna góra urodziła przysłowiową mysz. Ponadto, pokolenia te wiedzą, że nadto dobrze, że na naszej szerokości geograficznej nigdy nie bywa tak źle, żeby nie mogło być jeszcze gorzej. A przecież za Gierka jakoś się żyło. System wytwarzał monstrualne dysproporcje gospodarcze, demoralizował społeczeństwo, piętrzył nierówności społeczne, wyjąławał kulturę, ale nie był z pewnością najgorszy ze znanych i pamiętanych. W rezultacie, wielu uważało zasadniczą zmianę za niezbędną i niemożliwą zarazem. Ci nieliczni, którzy — mimo wszystko — głosili się jej domagali, robili to raczej z poczucia moralnego obowiązku niż z przekonania, że istotnie coś zmienia. Realizacja spodziewali się katastrofy, a nie dobroczynnego w skutkach przełomu. Przyznaje, że byłem realistą właśnie. Wydawało mi się, że mam po temu wszelkie dobre racje. Najważniejszą z nich był, rzecz jasna, brak sił społecznych, które potrafiłyby wymusić reformy. Dziś nie wykluczam, iż pozostawałem mimowolnie pod wpływem oficjalnej propagandy, której podstawowym dogmatem było założenie o bierności bezwzględności społeczeństwa, które albo daje się prowadzić przywódcom albo co najwyżej rzuca się nieprzytomnie w przeciwnym kierunku. Poczucie bezradności, o którym wyżej pisałem, wynikało nade wszystko stąd, że nie dawało wyobraźni, by w ramach naszego ustroju przedstawić sobie tzw. masę (samo to słowo jest już świadectwem braku wyobraźni) inaczej niż w stanie apatii (która przywódcy zwykli brać za przejaw poparcia i sympatii) lub żywiołowego buntu, który szybko cichnie i na pozór nie zostawia żadnych trwałych śladów poza wniesieniem do władzy nowych przywódców, którzy nigdy już nie popełnią błędów”. Najkrócej mówiąc, w moich rachunkach zabrakło wyobrażenia społeczeństwa jako podmiotu, które może być wprawdzie na jakiś czas ubezwłasnowolniony, ale nigdy nie przestaje być obecny. Można na jakiś czas uśmierzyć manifestowanie się jego aspiracji i potrzeb, ale nie można ich zlikwidować. Nie wziąłem pod uwagę jeszcze jednej rzeczy: otóż bez względu na zmianę warunków ustrojowych klasa robotnicza pozostaje siłą rewolucyjną o dużej zdolności do działań zorganizowanych; nie daje się upaństwowić razem ze środkami produkcji.

Nadzieja, która narodziła się latem 1980 roku, ma za podstawę nade wszystko to, że na społecznej scenie pojawili się tłumnie nowi aktorzy, którzy do tej pory byli co najwyżej statystami. Aktorzy o indywidualności tak silnej, że bez porozumienia z nimi nie można już dłużej kierować przedstawieniem. Obywatel przestał być sam na sam z państwem i poczuł się częścią wspólnoty, od której i państwo musi być zależne; uświadomił sobie, że nie jest nieodwołalnie skazany na pozostanie bezwonnym przedmiotem manipulacji, lecz może być częścią podmiotu zbiorowego występującego wobec władzy jako pełnoprawny partner. Nie jest to wyłącznie, ani nawet głównie, kwestia lepszego samopoczucia, choć i jego nie należałoby lekceważyć. Znaczenie ważniejsza jest związana z ową zmianą szansa na naprawę systemu. Moim zdaniem, ma ona bowiem dwie wady zasadnicze. Pierwszą jest to, że prowadzi do zobojętnienia obywateli na rzecz publiczną i postępującego zaniku zmysłu samorządności. Drugą jest to, że władza kontrolująca coraz większe obszary życia społecznego pozbawia się sama wszelkich mechanizmów korekcyjnych; nie napotykając na opór zagrożona jest stałe zżuwaniem, że jest wszechwładza, na skutek czego zatrzymuje się dopiero

na krawędzi katastrofy, kiedy to błędy bywają już nie do naprawienia. Jeżeli w polityce inwestycyjnej zostały przekroczone wszelkie granice rozsądku i bezpieczeństwa, to przecież nie dlatego tylko, że przywódcy okazali się lichymi ekonomistami, lecz przede wszystkim dlatego, że mogli długo nie brać pod uwagę potrzeb i nastrojów obywateli, których sprzeciw — dostrzeżony w porę — byłby dla władzy swoistą kłapą bezpieczeństwa. Nie wyobrażam sobie żadnego innego sposobu korygowania błędów władzy jak tworzenie warunków ujawniania się niezależnej opinii publicznej. Nie uważam, że jest ona zawsze nieomylna, czyli najmądrzejsza. Myślę po prostu, że znajdują w niej wyraz realne potrzeby i interesy, których stłumienie jest na dłuższą metę niemożliwe i niebezpieczne.

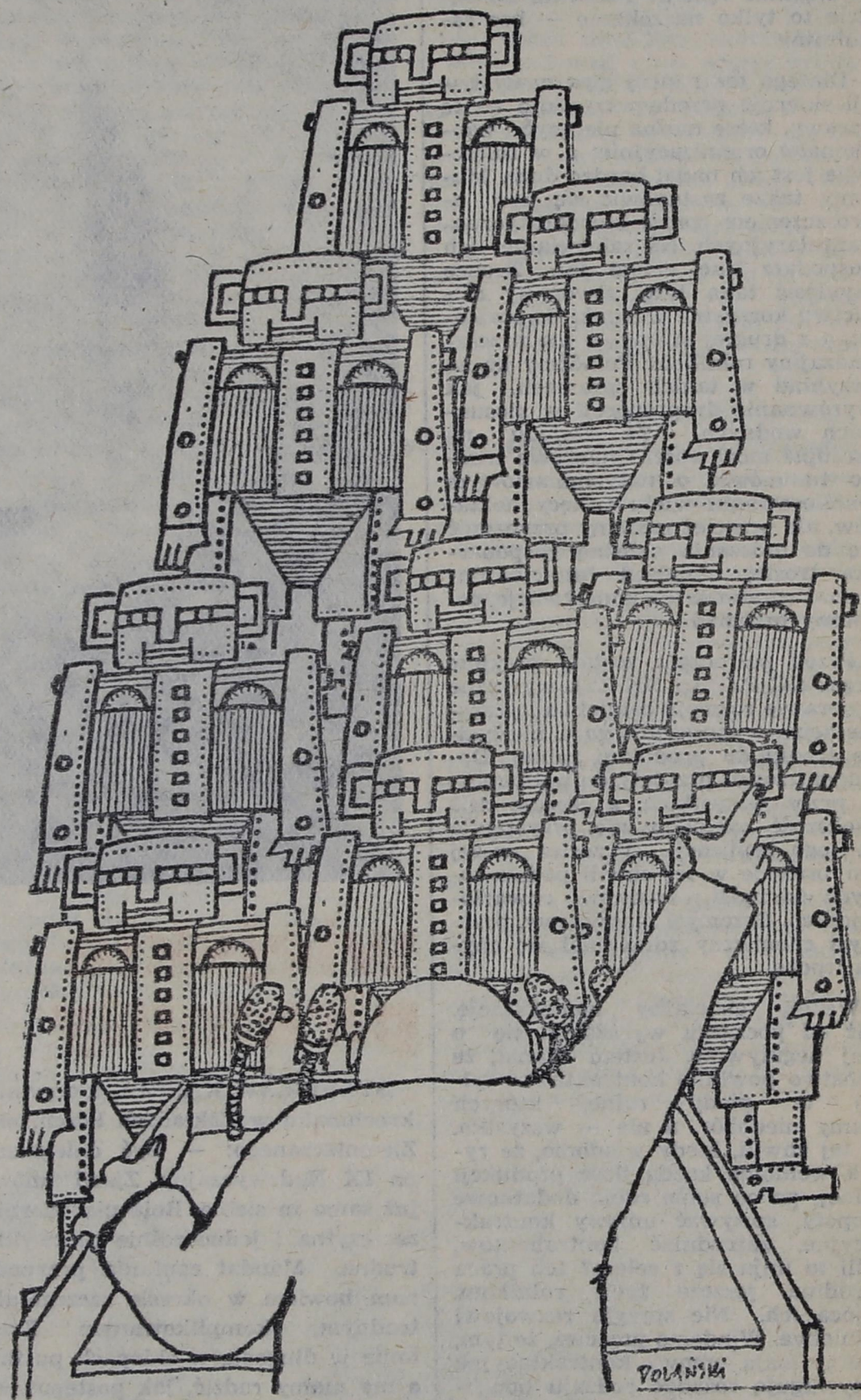
Oto dlaczego jestem skłonny sądzić, że wydarzenia lata 1980 roku, a zwłaszcza powstanie niezależnych i samorządnych związków zawodowych, mają takie znaczenie dla przyszłości naszego kraju i dla przyszłości socjalizmu. Zwiastują one koniec epoki arbitralności władzy, która robi to czy owo dla społeczeństwa (w pewnych okresach wcale niemało), ale nie liczy się z tym, czego ono samo — słusznie bądź niesłusznie, z punktu widzenia Doktryny — chce i potrzebuje. Są one zapowiedzią przejścia od socjalistycznego absolutyzmu do socjalistycznej demokracji, która — jak każda inna demokracja — nie może obejść się bez jawnej konfrontacji idei i interesów, chociaż ta konfrontacja nie musi przeradzać się w walkę polityczną, jeśli w porę stworzone zostają odpowiednie drogi ujawniania sprzecznych interesów i znajdowania rozwiązań kompromisowych. W istocie rzeczy, tę demokrację już mamy jako pewien stan świadomości społecznej. Nie mamy jej jeszcze, nieśsty, jako systemu instytucji i nowego stylu rządzenia. Podobnie, mamy raczej ideę samorządności niż samorządność samą.

Piszę o nadziei, jestem wszakże świadom, że okres ostatnich kilku miesięcy nie dał zbyt wiele powodów do optymizmu. Co prawda, nie mamy wyboru: musimy być optymistami, a w każdym razie musimy działać tak, jak gdybyśmy nimi byli. Kości zostały rzucone. To zresztą jedna z najważniejszych prawd, jakie trzeba sobie wreszcie uświadomić. Nie pora zastanawiać się, co byłoby pożądaną *in abstracto*. Trzeba radzić sobie z sytuacjami, które wynikają z dnia na dzień. Łatwo w takich sytuacjach o błędy, ale niewybaczalnym błędem jest tylko uznanie, że nic nie da się zrobić. Stało się tyle rzeczy niemożliwych, że może stanie się ich więcej, jeżeli nie uwierzymy przedwcześnie w ich niemożliwość. Ta dyrektywa praktyczna, jakkolwiek ważna, nie może jednak zastąpić odpowiedzi na pytanie, dlaczego tyle wysiłków podjętych pod sztandarem „odnowy” (zle to słowo, bo częściej chodzi o tworzenie rzeczy w naszym ustroju bezprecedensowych niż o odnawianie) dało w sumie efekt tak mizerny. Nie przeczę, że w sferze świadomości społecznej dokonała się prawdziwa rewolucja, ale nie o zmianę świadomości chodziło. Może zresztą i ta zmiana jest w jakiejś mierze pozorna, polegając raczej na obruszeniu knebla, niż na przyswojeniu sobie przez społeczeństwo treści zasadniczo nowych? Tak czy inaczej, w sławnych dniach dochodzenia do „umowy społecznej” mało kto oczekiwał, że po prawie pół roku będziemy niemal w punkcie wyjścia. To był dobry punkt wyjścia. Ale co dalej? Realizacja porozumień idzie jak po grudzie. Dlaczego?

Nie ulega wątpliwości, że historyczny zwrot, jaki rozpoczął w sierpniu 1980 roku nasz kraj, odbywa się w warunkach w najwyższym stopniu niesprzyjających. To wiadomo. Nie sprzyja mu z pewnością sytuacja gospodarcza. To prawda, że bez głębokiego kryzysu ekonomicznego, być może zwrot ten w ogóle nie doszedłby do skutku. To przecież właśnie trudności gospodarcze sprawiły, że skutki nieprawidłowego sposobu rządzenia stały się odczuwalne dla każdego — niezależnie od stopnia zainteresowania polityką. Nie jest wykluczone, że w nieco lepszej sytuacji gospodarczej możliwe byłoby ominięcie raz jeszcze (jak stało się to po grudniu 1970 roku) zasadniczych problemów politycznych i społecznych. Taktkę taką, próbowano stosować w lipcu i sierpniu zeszłego roku, godząc się dość łatwo na ryzykowne gospodarczo ustępstwa w sprawach płacowych, byle tylko uniknąć ja-

prof. JERZY SZACKI-DZIEKAN
WYDZIAŁU NAUK SPOŁECZNYCH
UNIwersytetu WARSZAWSKIEGO

kapryśne dziecko lud



kichkolwiek reform strukturalnych. Kryzys gospodarczy czyni potrzebę reformy ekonomicznej niemal oczywistą, podobnie jak sprawę jej politycznych i społecznych uwarunkowań. Jakże jednak przeprowadzić tę reformę, skoro okoliczności wymagają od państwa stosowania środków właściwych gospodarce wojennej, choć skądinąd wiadomo, że właśnie podobny styl zarządzania przyczynił się do powstania kryzysu? Jakże przeprowadzić reformę, skoro absurdalne ekonomiczne ceny stały się jedną ze świętości narodowych? Dużo jest takich pytań. Niezbyt sprzyjające są również warunki polityczne, a zwłaszcza to, co jest w nich największą niewiadomą, pewne granice nie mogą zostać przekroczone, brak wszelkiej jasności, gdzie owe granice są. Niepewność ta działa w wielu wypadkach paraliżująco. Niesprzyjające są warunki ideologiczne i na tym odcinku mamy od dawna do czynienia z niejakim kryzysem, który bez widocznych skutków usiłowano zagłuszać już to pochukiwaniem na rewizjonistów i nacjonalistycznym frazesem w stylu z marca 1963 roku, już to deklamacjami na temat „drugiej Polski”, rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego i rewolucji nauko-

wo-technicznej. Jednakże ilość literatury społeczno-politycznej nie przechodziła żadną miarą w jakość. Duża część tej literatury spoczywa zresztą do dzisiaj w księgarniach i magazynach. Ale nie o literaturę w końcu chodzi. I nie o referaty, lekcje i wykłady. Tego wszystkiego z pewnością nigdy nie zabraknie, jedni bowiem potrzebują posad, inni zaś ideologicznego alibi. Problem tkwi w spadku praktycznego znaczenia ideologii, która nie wskazuje nikomu drogi, nie służy za punkt odniesienia przy podejmowaniu decyzji politycznych, nie jest czymś, co ludzi przyciąga bądź odpycha. Ideologia stała się zrytualizowanym dodatkiem do polityki, pozbawioną jakiegokolwiek samostnej roli. Znam ludzi, którzy się z tego cieszą, pamiętając fatalne skutki sekciarskiego panideologizmu lat pięćdziesiątych. Rozumiem ten punkt widzenia. Ale niebezpieczna wydaje mi się również sytuacja, w której ideologia to albo książki, których nikt nie czyta, i referaty, których nikt nie słucha, albo hasła, które nie straciły wprawdzie atrakcyjności (sprawiedliwość społeczna, równość, socjalizm itp.), ale łączą zbyt wiele różnych ludzi, aby mogły służyć za znaki rozpoznawcze i za program. Nie ma w

ogóle programu bez wyraźnej artykulacji celów i wartości, której nie zastąpią żadne zestawienia danych i wskaźników. A prób takiej artykulacji prawie nie widać. Zadawaliśmy się ogólnikami i frazesami. To nie jest klimat dla wielkiej reformy! Na samym końcu umieszczam trudności psychologiczne. Nie uważam ich jednak za najmniej ważne. Być może, one to właśnie (obok — rzecz jasna — interesów grupowych) decydują, że tak często mamy do czynienia z dialogiem głuchych, a umowa społeczna pozostaje na papierze.

Nad tą kategorią trudności zatrzymam się nieco dłużej. Nie zamierzam wdawać się w dywagacje na temat charakteru narodowego, choć zapewne nie byłoby one całkiem nie na miejscu. Tak czy inaczej, najważniejsze wydają się nie duchowe osobliwości Polaków, lecz pewne postawy, które wykształcają się bodaj wszędzie, gdziekolwiek zachowania społeczne są przez dłuższy czas wymuszane bez liczenia się ze społecznymi aspiracjami, bez dialogu z przedstawicielami społeczeństwa. Taki wymuszony rozwój przynosi czasem takie czy inne korzystne rezultaty, ale jego koszty są zawsze bardzo wysokie. M.in. pozostawia on skazy psychiczne zarówno na rządzących, jak i na rządzonych. We współczesnej Polsce widać to z całą ostrością.

Zacznijmy od swoistej mentalności ludzi przyzwyczajonych do rządzenia. Otóż cechuje ich skłonność do przyjmowania absolutystycznej koncepcji społeczeństwa. Chociaż najprawdopodobniej nie czytali, dajmy na to, Bossneta, są głęboko przekonani, że to władza powołuje do życia społeczeństwo — ład zaś społeczny jest tym większy i wspanialszy, im mniej dziedzin ludzkiego życia pozostaje bez kierownictwa i nadzoru. Jeżeli pojawiają się zjawiska niekontrolowane, oznacza to konieczność anarchii i pójście społeczeństwa w rozpłytkę, aż do czasu wzmocnienia się władzy. Jak długo władza nie jest wszechwładzą, tak długo nie jest władzą w pełnym tego słowa znaczeniu. Rządzić naprawdę może tylko wtedy, gdy nikt w rządzeniu nie przeszkadza i nikt do rządzenia się nie wtrąca. Byłoby przeto najlepiej, gdyby społeczeństwo było całkowicie zatomizowane i istniało, by tak rzec, wyłącznie za pośrednictwem rządu, za jego łaskawym przyzwoleniem i w formach, które on określi. Bo też on jeden rzeczywiście wie czego ludzie potrzebują i jakie są ich dobrze rozumiane interesy. Lud jest wielkim dzieckiem, któremu wybiera się pojedyncze kaprysy, nie po to jednak, by uznać go za dorosłego. Taki układ stosunków między władzą i społeczeństwem w rzeczywistości nigdy rzecz jasna, nie istniał, od stuleci jednak model ten pokutuje w świadomości ludzi sprawujących władzę. Nawet w krajach demokratycznych nie brakowało polityków, którzy sądzą, że dla wszystkich byłoby lepiej, gdy można byłoby nie brać pod uwagę zastanych sił społecznych, tylko robić to, co z wyżyn własnej mądrości uznało się za słuszne i dobre dla obywateli.

Wydaje mi się, że mentalność ta ciąży również na działalności aparatu władzy w naszym kraju i to nawet wtedy, gdy jego najważniejsi przedstawiciele zdają się wykazywać wyższe od przeciętnego rozumienie skali i konsekwencji wydarzeń. Iż to razy słyszało się w ciągu ostatnich miesięcy, że rząd zrobiłby nieporównanie więcej, gdyby mu ciągle nie przeszkadzano! Jest to, być może, prawda, ale rząd robiłby wtedy inne rzeczy i innych rzeczy by nie robił. Jeżeli robił za mało, to dlatego, iż zbyt wiele wysiłku wkładał w to, by pokazać, że przeszkadzać sobie nie da. Nie brak ludzi wyobrażających sobie umowę społeczną na wzór Hobbesa: kiedy ludzie już powołali suwerena, reszta należy do niego. Otóż jestem przekonany, że nie będzie postępu bez przezwyciężenia tej absolutystycznej filozofii i zrozumienia, że polityka jest w obecnych warunkach grą sił społecznych, które nie znikną, lecz mogą być co najwyżej zepchnięte w podziemie. Nie ma więc co czekać aż się uspokoi. Trzeba uczyć się działania w zmienionych warunkach.

Krytykując ludzi władzy, nie mam bynajmniej zamiaru idealizować rozwijającego się od sierpnia 1980 roku ruchu społecznego. Za dobry, zbawienny wręcz, uważam nade wszystko sam fakt tego powstania. Dzięki niemu zwykli ludzie odzyskali, przynajmniej na pewien czas, poczucie siły i godności, władza zaś uzyskała niezbędną w każdym systemie demokratycznym — przeciwwagę

zmuszającą do pamiętania, że polityki nie robi się w społecznej próżni. Kiedy takiej przeciwwagi nie ma, władza traci — jak się okazało — instynkt samozachowawczy; władza absolutna jest, w gruncie rzeczy, władzą najsłabszą i narażoną na najgwałtowniejsze kataklizmy. Jeżeli PZPR odrodzi się jako partia polityczna, też będzie to w znacznej mierze zawdzięczała społecznej krytyce i społecznemu naciskowi. Krótko mówiąc, ów ruch społeczny jest zjawiskiem pozytywnym niezależnie od tego, czy jego przedstawiciele mają rację w każdej konkretnej sprawie. Od żadnego ruchu społecznego nie można tego zresztą wymagać. Z tego powodu wychwytywanie pojedynczych pomyłek czy nawet głupstw „Solidarności” jest, w gruncie rzeczy, zajęciem najzupełniej jałowym. Podobnie, jak wychwytywanie oddzielnych błędów władzy.

W wyrosłym ze strajków ruchu społecznym mnie niepokoi przede wszystkim jedno. Otóż stworzyli go ludzie wychowani w warunkach państwa autokratycznego i przyzwyczajeni do tego, że jest ono niemal wszechobecne. Łatwiej im jest odmawiać posłuszeństwa, protestować, żądać czy bronić, niż robić samorządnie rzeczy przy których państwo (a zwłaszcza władza centralna) nie musi być obecne jako strona. Nie krytykuję tu, ani nie lekceważę, rozlicznych akcji rewindykacyjnych skierowanych przeciwko państwu. Były one w większości potrzebne i rozumne. Bez nich nie byłoby najpewniej i tego mizernego postępu, jaki został w ostatnich miesiącach osiągnięty. Ale rola tych akcji maleje lub — ściślej — będzie maleć w miarę pełnej realizacji porozumień z Gdańską, Szczecińską i Jastrzębską, do której — mam nadzieję — dojdzie. A także w miarę znajdowania — jakże niezbędnych — płaszczyzn codziennego kontaktu i uzgadniania stanowisk. Tym bardziej niepokojąca stawać się będzie dysproporcja między rozmiarem akcji, których adresem jest państwo jako takie, a skalą działań nastawionych na odbudowę społecznej samorządności na poziomie zakładu pracy czy społeczności lokalnej. Inaczej mówiąc, obserwowany przez nas ruch społeczny raczej stwarza pozory dla arbitralności organów władzy państwowej, niż inicjuje rzeczywiste uspołecznienie. Nie należy mylić tych dwóch rzeczy: druga nie jest możliwa bez pierwszej, ale pierwsza nie da trwałych rezultatów bez drugiej.

Owa dysproporcja nie trudno jest wytłumaczyć, wskazując, jak ograniczone są u nas możliwości ciał samorządowych i jak niewiele rzeczy daje się załatwić bez porozumienia z Warszawą i Gdańskiem. Zrozumiała jest rezerwa, z jaką na przykład działacze „Solidarności” odnoszą się do SKR-ów czy Kółek Rolniczych. Nie bez powodu boją się wciągnięcia w grę pozorów i odmawiają podjęcia współodpowiedzialności bez możliwości współdecydowania. Z pewnością niezbędne są poważne zmiany organizacyjne i prawne. Ale problem polega również na znajdowaniu i powiększaniu obszarów, na których można samorządnie decydować. Niezbędne są nowe postawy społeczne, niezbędni są działacze, którzy będą napierw pytali, co zrobić, potem zaś dopiero, do kogo lub przeciwko komu się zwrócić. Dotykam tu jedynie tego zagadnienia, zdając sobie sprawę, jak jest skomplikowane i w pewnym sensie przedwczesne. Warto jednak pamiętać, że miarą demokracji będzie w końcu nie liczba ustępstw uzyskanych od państwa, lecz liczba spraw, które da się załatwić bez niego. To może okazać się dużo trudniejsze.

I, wreszcie, problem ostatni. Jednym ze skutków edukacji politycznej, jaką odebraliśmy, jest przesadna wiara w moc uchwał, rezolucji i podpisów. W państwie absolutystycznym problem przestaje istnieć, kiedy władza powie słowo. Ponieważ rzeczywistość *ex definitione* jest mu posłuszna, nie musi się już nią interesować. Także poddany, który uzyskał największą decyzję, może uznać sprawę za skończoną; jeśli nawet decyzja nie zostanie wykonana, nikogo nie będzie to obchodzić. W naszej sytuacji nie jest to możliwe. Nie oczekujemy żadnych ostatecznych rozwiązań. Problemy społeczne nie znikają z dnia na dzień. Dlatego najważniejsze są nie piękne uchwały i porozumienia, które osiągnęliśmy wczoraj lub osiągnąmy dziś, lecz trwałe formy dialogu pozwalające osiągać porozumienie zawsze, kiedy jest ono niezbędne.

spiećcia



Na przystanku przy ul. Pięknej w Łomży gromadzą się ludzie o niepięknych upodobaniach. Niewiele szans dają trawnikowi i młodzieńskim krzewom, hałasując pod oknami bloku nr 22. Po prostu zachowują się tak, jak notoryczni bywalcy „baru pod chmurką”.



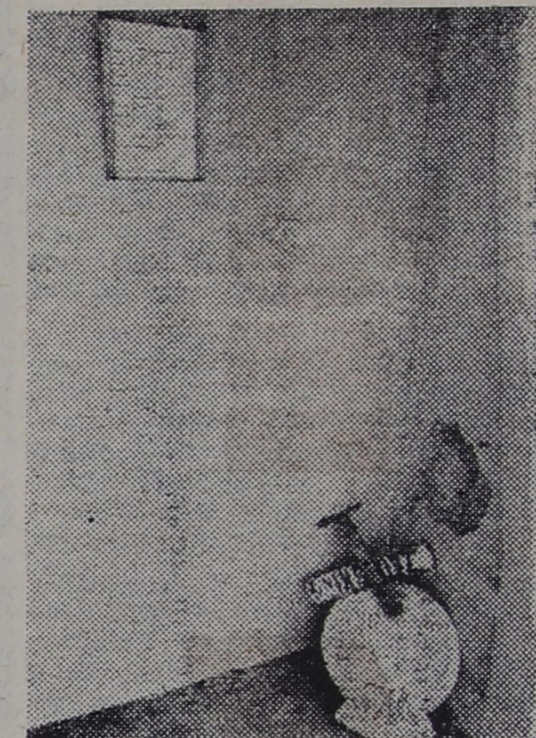
Pokaż mi swoje podwórko, a powiem ci, kim jesteś. Spośród tysięcy zaniedbanych obejść sfotografowaliśmy to jedno, należące do... Tak, Panie Softysie, to marny przykład dla mieszkańców wsi, bo jest to przykład marnotrawstwa i niechylności. Można by tym obdzielić kilka składnic surowców wtórnych. Ponadto życzymy dobrych zbiorów.



Przy trasie Warchoły-Zambrów wykryliśmy wielką przymkę skawionego cementu. Sceptycy powiedzą: na budowach jest takich obrazków więcej. Zgoda, budowlani mają fatalną opinię jako gospodarze powierzanych im dóbr. Odkryty przez nas cement poszerza krąg podejrzanych o głupotę, czyli wiarę w krótkowzroczne, pozbawione wyobraźni „jakoś to będzie”.



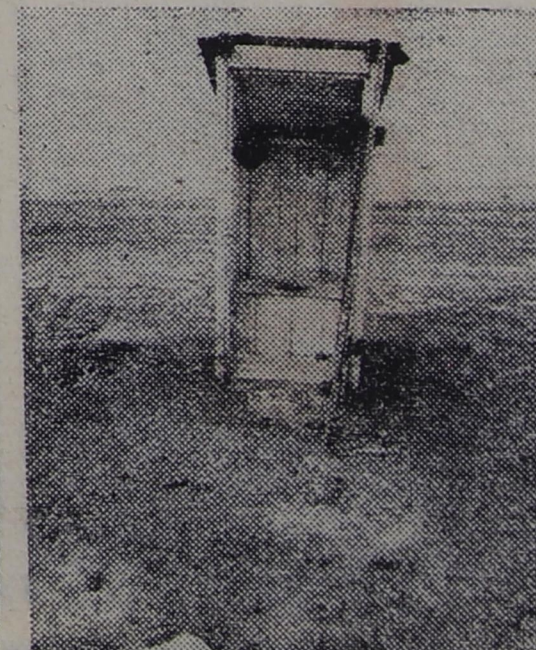
Przystanek na żądanie w Zaosiu (pomiędzy Zambrowem a Czyżewem). Moglibyśmy napisać, że pod różni mają taki dach nad głową, na jaki zasługują, bo przecież nikt obcy im tej budki nie zdemolował. Wiemy jednak, że wygląd różnych pomieszczeń niejako narzuca ich użytkownikom sposób bycia, więc może lepiej przystanek naprawić, zanim następnym wandalom przyjdzie do głów jego rozebranie.



Wygląd zewnętrzny klubu z całą pewnością nie zachęca do wejścia; żeby chociaż było wiadomo, co głosi powyższe hasło: reklamuje ów przybytek czy przeciwnie — ostrzega potencjalnych amatorów prasy przed czającym się wewnątrz niebezpieczeństwem?



Kotaki Kościelne zafundowały sobie taki oto wychodek publiczny, dokładając do apelu mas o jawność życia społecznego własną inicjatywę: propagowania zasady jawności życia jednostkowego. Zasadę tę wspiera gmina piątnicka, w której identyczny przybytek zdobi trasę na Białystok. Gratulujemy pomysłu i odwagi konsekwentnego trwania przy nim.



porażeni czarną nóżką

Władysław Tocki

W urzędach zgodność: beknąć powinien minister. W odnowionych urzędach wskazuje się nawet personalnie — minister Henryk Kisiel. To on bowiem swoim rozporządzeniem o pomocy finansowej państwa za straty poniesione w uprawach w wyniku katastrofy rolniczej w ubiegłym roku skłócił wsie, napędził setki, tysiące skarg wszelkim możliwym instytucjom, urzędom, instancjom. Jest jeszcze zarzut uczono-armatni: kto mądry puszcza w obieg tyle mamony bez pokrycia? — A minister Kisiel — słyszę w urzędach super odnowionych — zamiast odpowiedzieć za nawarzony bigos poszedł „w premiery”.

Chłopi w Białosukniach, z których przedsierniowa pokora ulatuje cieńszym niż z urzędników wentylem, nie śmiały jeszcze patrzeć tak daleko. Ich wskazujący palec szuka winnych we wsi, zapuszcza się w kierunku Urzędu Gminnego w Goniądzu; nieśmiało, z zagęciem, wstrzymuje się przed Urzędem Wojewódzkim.

Ja natomiast, żeby było sprawiedliwie, jako winnych wskażę wieś. Za to, że kilku cwaniakom dała się wpuścić w maliny. Ale od początku:

Gmina Goniądz ze swoimi niespełna ośmioma procentami zmeliorowanych gruntów i nisko położonymi pastwiskami uciepiała w ubiegłe lato nie mniej, niż najbardziej deszczowym kataklizmem dotknięte regiony kraju. Od lipca do grudnia wpływa więc do Urzędu Gminy 1158 podań z prośbą o ocenę szkód, która może być podstawą do wypłacenia odszkodowań lub pomocy finansowej. Aby temu zadaniu podołać gminna służba rolna deleguje czterech swoich pracowników na przeszkolenie w PZU w Grajewie; w kilka dni później — w teren. Do Białosukni trafia instruktorka Bożena Przekop. Wkrótce pod jej przewodnictwem rusza w pola komisja likwidacyjna. W jej skład wchodzi — sołtys Stanisław Gromko oraz dwaj rolnicy, Jan i Antoni Hryniewiczzy. I wtedy zaczynają się dziać dziwne rzeczy.

Józef Kokowski widzi komisję w działaniu na sąsiednim zagonie, wysła więc żonę z prośbą, by obmiarów dokonać również u niego, lecz Jan Hryniewiczki absolutnie nie ma na to ochoty.

Zofia Gromko dzieląca ze szwagrem-sołtysem podwórko przedzielone płotem dowie się o niej, gdy strat w ziemniakach nie będzie można już ustalić.

Stanisława Prokop po miesiącach stwierdzi, że nie wiedziała w porę ani o potrzebie składania w gminie podania, ani o powoływaniu jakiegokolwiek komisji.

Antoni Sobotko przyznaje, iż w miarę przyzwolną kwotę za szkody w ziemniakach wymógł dopiero groźbą złożenia skargi w prokuraturze.

— Bywało — mówią chłopcy — iż jako komisja po polach chodzili tylko Hryniewiczzy; że komisja potrafiła uznać szkody wszystkim wokół a w środku, bo ktoś nie na raczkę jej szedł, ich nie widzieć; że jeden z drugim zgarnawszy niezłą sumkę do geesu z pełnymi przyczepami jechał, inny dostał gówna, a kartofle musiał kopać na nartach... Ale komisja, poza Bożeną Przekop, miała również swoje gospodarstwa. Całkiem niezłe pole do działania: Jan Hryniewiczki, to pan na dwudziestu siedmiu hektarach, Antoni posiada ich przeszło czterdzieście. W tym kontekście plon akcji zespołu zdaje się być szczególnie interesujący. W jej bowiem wyniku, mimo ogólnego nieurodzaju, na polach członków komisji deszło w ubiegłym roku do cudownego rozmnożenia plonów.

Jesienią 1979 roku Jan Hryniewicz



wicki zawarł z Centralą Nasienną w Grajewie umowę kontraktacyjną na uprawę sadzeziaków odmiany „Janka”, „Irys” i „Sokół” o ogólnej powierzchni pięć hektarów, dwadzieścia pięć arów. Plantacje takie — ze względu na ich przeznaczenie — podlegają specjalnej opiece, polegającej na systematycznej lustracji wzrostu ziemniaków, dokonywanej przez pracowników Centrali oraz końcowej kwalifikacji polowej całej uprawy. W końcu czerwca 1980 roku zjawia się więc w gospodarstwie Hryniewickiego selekcjonista Jan Szymański i stwierdza, że „usunięto jeden procent krzaków porażonych czarną nóżką, jeden procent chorobami wirusowymi”. Zaleca jednocześnie wstawić tabliczkę. W miesiąc później, 23 lipca, również nie dostrzega alarmujących zmian w uprawie. Ba, 19 sierpnia kwalifikator Antoni Łysko w wyniku „kwalifikacji polowej plantacji nasiennej w gospodarstwie Jana Hryniewickiego” przewiduje plon brutto z hektara, zasadzonego odmianą „Janka”, w granicach minimum dwudziestu ton. Plantacja uzyskuje jednocześnie wysoki stopień oceny, wyrażający się w specjalistycznej terminologii symbolem A₂. Taką samą klasę otrzymuje od-

miana „Irys”, najlepiej jednak prezentuje się siedemdziesięcioarowa plantacja z odmianą „Sokół”, z której przewidywany plon sięga osiemnastu ton, a sadzeziaki uzyskują klasę A. W kilka dni później uprawa marnieje jednak w oczach komisji do tego stopnia, że bez wahania spisuje na straty grubo ponad trzy hektary, dzięki czemu gospodarz podjąć może 75.051 złotych.

Fatalny wpływ komisji na stan plantacji okazuje się na szczęście nietrwały. Po jej odejściu Jan Hryniewiczki może przystąpić bowiem do wykopków i wkrótce jedenaście ton ziemniaków sprzedaje geesowi w Goniądzu, trudną dziś do ustalenia ilość pegeerowi w Knyszynie oraz rolnikom wsi Kramówka. Proponuje też ziemniaczaną transakcję Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, jednakże FSO oferty nie przyjmuje.

Podobne do opisanych czynności podejmuje Centrala Nasienna także na polu Antoniego Hryniewickiego. I tu Jan Szymański notuje w polustracyjnym protokole w rubryce: „stan plantacji” ocenę „średni”, później, w ostatni dzień lipca — „dobry”. Na świadectwie zaś kwalifikacji polowej z połowy sierpnia





sadzeniaki odmiany „Janka” uzyskują klasę A2, „Sokół” — jeszcze lepszą, klasę A. Komisja likwidacyjna i w tym przypadku widzi jednak inaczej. Uznaje obie plantacje za zniszczone i tym samym wypisuje kolejny czek na sumę prawie siedemdziesięciu tysięcy złotych.

Największe jednakże gospodarskie osiągnięcia notują członkowie komisji w uprawie lnu. Antoni Hryniewicki, u którego hektarową działkę uznano za całkowicie zniszczoną, potrafił z pozostałych czterdziestu pięciu arów dostarczyć do magazynów „Lenpol” w Szczytnie 38,2 kwintala stomy lnianej, przy średniej wojewódzkiej 21 kwintali z hektara; u Jana pięćdziesięcioarowy splachetek rozrasta się natomiast na komisyjnej mapce do bez mała trzech hektarów. Skrętne podejście do własnych pól i tym razem nie pozostaje bez nagrody: pierwszemu PZU wypłaci później ponad 20, drugiemu prawie 142 tysiące złotych. W tej sytuacji za przejaw skromności uznać należy, iż trzeci członek komisji, Stanisław Gromko, poprzestał na dwukrotnym

pobranu odszkodowania z tej samej działki; raz rozpisując ją na siebie, potem na żonę.

Wież jeszcze nie reaguje. Nikt nie wierzy, że naniesione na listy sumy, pod którymi należy złożyć podpis, będą kiedykolwiek wypłacane. Nigdy dotąd nie była bowiem ani tak katastrofalnego roku, ani nie przyznawano tak wysokich kwot. Budzi się dopiero przy kasie, gdy namacalnie, naślinionym palcem stwierdzić może realność wysuwanych przez okienko pięsetek i „koperników”. Wówczas do Urzędu Gminy, PZU, Wydziału Rolnictwa UW w Łomży napływają zaczynają skargi, zażalenia, odwołania. Powołana na tę okoliczność komisja, w innym oczywiście składzie, wykazuje rozbieżności z wcześniejszymi ustaleniami. Szczególnie jaskrawo występują one na polach Jana Hryniewickiego, Stanisława Gromko i Antoniego Hryniewickiego. W wyniku skarg sprawa dociera również do Wydziału ds. Przepływów Gospodarczych KW MO, skąd wkrótce płon kilkumiesięcznego dochodzenia trafi w ręce prokuratora. Winnych w tej kwestii ustali sąd. Ten

etap jest już więc niejako zamknięty. W Białosukniach do dziś nie ma jednak spokoju.

Naczelnik jest zdania, że cała ubiegłoroczna akcja, wyrosła z rozporządzenia ówczesnego ministra rolnictwa, od początku do końca nie miała sensu. Chłopom należało umożliwić podatki, choćby hurtem, a w samej tylko gminie Goniądz państwo zaoszczędziłoby 8,5 miliona złotych. Wprawdzie wieś otrzymałaby wówczas grosze, ale byłby spokój. Nie byłoby też roboty — domysł ten nie wychodzi jednak od naczelnika. Nie on też stawia sobie pytanie, czy za pracę swego podwładnego można nie mieć absolutnie żadnego pocucia odpowiedzialności. I inne — czy rolnik, który latami opłaca składki ubezpieczeniowe ma prawo otrzymać w trudnej dla niego sytuacji pomoc taką, jaka mu się należy.

Wież czuje się oszukana i pokrzywdzona. Przez sołtysa, który o niczym jej nie informuje; przez komisję, która gorliwość całą zostawiła na swoich polach. Zarzucą naczelnikowi, że nie miał czasu, gdy przyszli się upomnieć o swoje; nie zajął się w porę sygnalizowanymi nieprawidłowościami. Że nie wobec wszystkich dotrzymał słowa, iż tym, którzy nie dostali odszkodowań z PZU i pomocy finansowej z gminy, przyzna ulgi podatkowe. Podobne pretensje kieruje również pod adresem Wydziału Rolnictwa UW, a imienne — dyrektora Aleksandra Malinowskiego.

Wśród wyluskiwania krzywd, oskarżeń, przekrzykiwań usiłuję na zebraniu w czerwcu tego roku dokonać uproszczonej rekonstrukcji fotograficznej raz jeszcze. Patrząc na wieś: co robi, gdy bez jej udziału powołuje się komisję w sprawie tak ważnej i drażliwej; jak reaguje, gdy sołtys nie przekazuje jej idących z UG informacji; jak zachowuje się, gdy komisja jawnie postępuje tak, jak jej się podoba; dlaczego podpisuje przedłożone listy polikwidacyjne, gdy do ustaleń na nich zawartych ma zastrzeżenia? Obrazem jedynym i zarazem odpowiedzią na wszystkie pytania jest bierność, porażenie „czarną nóżką”. Do dzisiaj?

Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
19 VII 1981

Przed ponad dwoma miesiącami zwróciliśmy się z prośbą do Prokuratury Wojewódzkiej w Łomży oraz Delegatury NIK w Białymstoku w sprawie położenia kresu dalszej dewastacji klubu „Ruchu” w naszej wsi (Kramkówka Mała) i przykładnego ukarania osób odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Prośbę zakończyliśmy stwierdzeniem, że jesteśmy przekonani, iż w obecnych czasach nasz sygnał nie pozostanie bez echa, a sytuacja ulegnie radykalnej i szybkiej poprawie.

Niestety jak dotychczas nie się w tej sprawie nie zmieniło i obawiamy się, że w ogóle nikt się naszym sygnałem nie zainteresuje. Dlatego też ośmielamy się prosić o opublikowanie naszego listu. Może tą drogą uda się zmusić odpowiednie władze do zajęcia się naszą sprawą.

Dziwi nas bardzo fakt, że ludzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy (mamy na myśli dyrektora MGOK-u) zamiast karać, powołuje się jeszcze w skład wojewódzkiej instancji partyjnej. Dla nas jest to niezrozumiałe i wręcz oburzające. To przecież nie ma nic wspólnego z odnową.

Zapraszamy jednocześnie przedstawicieli redakcji (i nie tylko), aby zechcieli obejrzeć na miejscu ten nasz „obiekt kultury wiejskiej” — dowód ludzkiej nieodpowiedzialności, niegospodarności i złej woli.

Liczymy, że sprawiedliwości stanie się zadość.

młodzi mieszkańcy
Kramkówki Małej
(gm. Goniądz)

☆

Dyrekcja Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Łomży składa tą drogą serdeczne podziękowanie zamieszkającym w Łomży właścicielom taksówek prywatnych, którzy w dniu 16 czerwca br. swoimi samochodami rozwieźli nieodpłatnie członków Związku Literatów Polskich na spotkania autorskie w Łomży, Zambrowie i Kolnie. Byli to ob. ob. Tadeusz Hutnik, Marian Rogiński, Ireneusz Gątarek, Jan Ptak, Stanisław Bagiński, Zbigniew Malinowski, Roman Kadłubowski, Franciszek Sirowski i Bogdan Dąbek. Organizatorem był ob. Ryszard Olszewski.

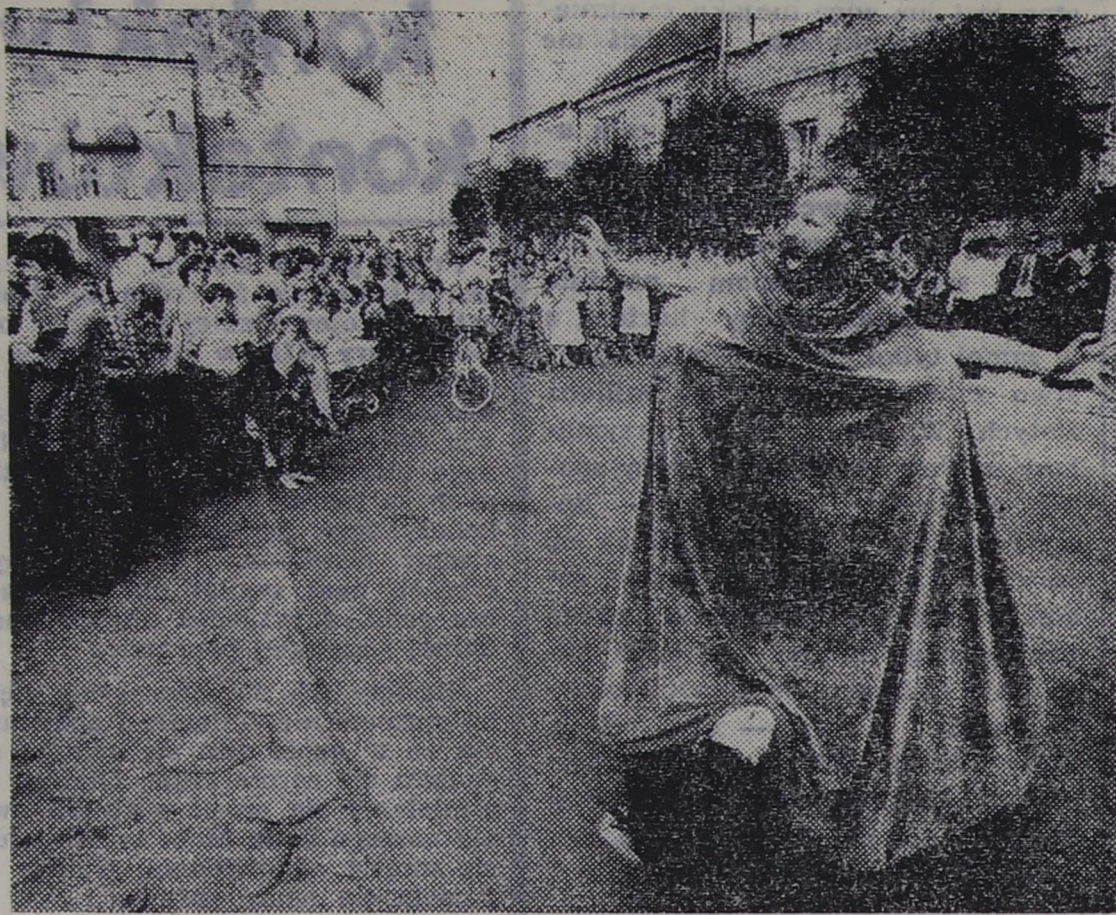
Dzięki wysoce obywatelskiej postawie taksówkarzy mogło się w tym dniu odbyć kilkanaście dodatkowych spotkań autorskich w szkołach, placówkach kultury i zakładach pracy Łomży, Zambrowa i Kolna, w ramach odbytej w Łomży sesji literackiej pod hasłem „Być poetą...”, w której uczestniczył Czesław Miłosz.

JÓZEF PAŁKA
dyrektor Wojewódzkiej
Biblioteki Publicznej w Łomży

Od red.: Po ukazaniu się artykułu o Czesławie Miłoszu „Takim go pamiętają” D. i A. Wroniszewskich („Kontakty” nr 23) otrzymaliśmy list od pani Anny Major z Białego-stoku, który przyniósł rewelacyjne dane o jednym z kolegów Cz. Miłosza — panie Kazimierzu Hałaburdzie. Do tej pory nie była znana ani data, ani okoliczności jego śmierci. Informacje te przekazaliśmy panom Jerzemu Zagórskiemu i Aleksandrowi Rymkiewiczowi, jego wileńskim przyjaciółom i poetom, którzy skorygowali oficjalną biografię Kazimierza Hałaburdy. Pani A. Major pisze m.in.: „Pan kapitan Bronisław Kamiński powiadomił rodzinę Kazimierza Hałaburdy o jego śmierci, która nastąpiła na skutek ostrego tyfusu na początku marca 1942 r. w siole Taszłak koło Fergany. Został pochowany na polskim cmentarzu wojskowym w Taszłaku. W kwietniu 1942 r. w dzienniku „Polska” wydawanym przez Ambasadę Polską w Kujbyszewie ukazał się prawdopodobnie jego nekrolog pióra Ksawerego Pruszyńskiego, późniejszego autora „Trzynastu opowieści”.

Zwracamy się jednocześnie do wszystkich Czytelników posiadających jakieś informacje o życiu i twórczości Kazimierza Hałaburdy o napisanie do nas. Może wspólnie z jego rodziną i przyjaciółmi uda się ocalić go od zapomnienia.





a w mieście zastrzelili ludzi

W ostatnią niedzielę czerwca po raz pierwszy w Łomży wystąpiła, działająca przy Olsztyńskim Towarzystwie Kultury „Pojezierze”, grupa „Pracownia” z ulicznym widowiskiem zatytułowanym „Podróż Guliwera”. Niecodzienny spektakl natychmiast zgromadził liczną widownię i z miejsca wywołał żywe komentarze oraz dyskusje. Wśród widzów rozpoznaliśmy wybitnego znawcę współczesnej kultury, doc. WŁODZIMIERZA PAWLUCZUKA oraz doc. ALDONĘ JAWŁOWSKĄ z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, zajmującą się od lat problematyką przemian kulturowych w Polsce i na świecie i towarzyszącą zespołowi od chwili jego powstania. Rozmawiali żywo, a ponieważ robili to nader zwiolowo i — co najważniejsze ciekawie, reporterski instynkt podpowiedział natychmiast jedyny ruch — włączyć magnetofon...

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK: — Przyjeżdżam do Łomży, wychodzę na ulicę natykam się nieoczekiwanie na widowisko; jedno z najpiękniejszych, jakie widziałem. O grupie, która go robiła wiem, że rozumie sztukę jako sposób życia, jako coś, co jest z nim niemal identyczne. Ale oto przypominam sobie scenę, którą ujrzałem wczoraj w nocy w hotelu „Polonez”: W drzwiach knajpy stoi mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, w kapeluszu stylowo zwiniętym, z gwiazdą szeryfa. Po chwili podchodzi do niego młody człowiek i mówi: „Stary, opieprzasz się, a w mieście zastrzelono troje ludzi”. Na to facet z gwiazdą wyszarpuje zza pazuchy pistolet i odpowiada: „Naprawdę? To już leć!” I pobiegli.

Dwie sceny, dwa spektakle; jeden wynikający z teorii, drugi niejako z życia. Który jest prawdziwszy, doskonalszy, lepszy?

ALDONA JAWŁOWSKA: — Stawiasz sprawę chyba trochę na głowie. Myślę, że przed próbą jakiegokolwiek wartościowania, oceny, warto byłoby zadać sobie najpierw pytanie — dlaczego? Bo obydwa te zjawiska są różne, ale to, co w nich wspólne, to jakaś głęboko zakorzeniona potrzeba teatru, potrzeba wyjścia z własnej sytuacji w sytuację kreowaną, może wymarzoną. W teatr. Czyli potrzeba nadania życiu, które jest chaotyczne, nieuporządkowane, jakiejś konstrukcji, formy, zapiecia w pewne ramy.

Ludzie z „Pracowni” — nim doszło do dzisiejszego spektaklu — podejmowali wiele działań zmierzających do rozbicia przytłaczających współczesną kulturę — zwłaszcza masową — schematów. To, co zobaczyliśmy na ulicy świadczy właśnie o głębokiej potrzebie ekspresji, przyobleczenia w kształty niejako materialne wcześniejszych przemysłań, poszukiwań; uformowania sytuacji, w której człowiek funkcjonuje.

„Szeryfa” obserwowałam od kilku dni. To, co przedstawiał było doskonałe. Widziałam na przykład jego pojedynek z Cyganem rozegrany według wszelkich konwencji znanych z westernów. Szeryf zasiada w hotelu „Polonez” co wieczór i sprawdza, czy wszystko jest w porządku. Jego strój, sposób zachowania się, chodzenia, nawet mówienia jest świadectwem doskonałego od-

grywania roli, w którą wszedł czego? Po prostu Szeryf był tym, kim jest; pragnął być tym, kim jest; pragnął do której został przypadkowo cony i wybiera sobie taką rolę. I ta pewna realna kroczenia warunków, w jakich funkcjonujemy jest jedną z rzeczy, o których warto mówić. A je właśnie teatr.

W.P.: — No dobrze. Wiele żyjący w chaosie, nadając sobie określoną konstrukcję, Polacy — wybieram się w podróż około świata, pisząc regulamin portażu z podróży, z której staje książka. Czy to już teatr?

A.J.: — A czy podejmujemy wszystko starasz się ukryć, mi działaniami, czy przybiera jakąś formę symboliczną, czy nie. One się po prostu dzieją, ciekawie.

W.P.: — O ile jednak imbecyła awangardę — koncepcję teatru ulicznego, teatru życia, brania uczestnictwa itp. — to przecież w atakuje ona sztukę za to, że jest poza życiem. Próbuje



mieszyć właśnie z tych, a niva pozycji. W plastyce wyrażasz eksperymentami; takimi, że o artysta zaprasza na wernisaż, a wszystkim biletu tranziu każąc oglądać pejzaż uliczny w najwspanialsze dzieło plast. V teatrze gdzieś tam aktorzy w scenę, ażeby zrobić widowisko umowne. Jednocześnie obojętne zewnętrznych prób zniesienia nie umowności jest coś gwałtowne awangardy — w przeciwstwie do tradycyjnego, który na się teatrem wtedy, kiedy ps maskę i zaczął udawać swych źródeł w opętaniu, im dzeniu. Jest więc jak gdyby uproszczeniu oczywiście — o strony „maska”, z drugiej w.

A.J.: — Nie należałoby chamsiać umowności z udziału. Teatr japoński choćby, czy bardzo wyraźnie związane dowość i ze wszystkich najbliższe owemu teatrowi niesłychanie skonwencjon w swojej formie; a zarazem teatr bardzo autentyczny. japońscy czy hinduscy aktorzy, iż to, co dzieje się na scenie, dzieje się naprawdę. Natomiast idzie o awangardę, to ten



a widza pomysłem, potem
ością, przemocą itd. był bun-
eciwno komercjalizacji sztuki,
gole, przeciw sztuce, która
towałem.

— Czyli można powiedzieć,
niez to odwołanie się współ-
awangardy do tradycji ludo-
erwotnej, powodowane jest
przeciwko społecznym fun-
sztuki, która się wyalienowa-
ka jest czystym udawaniem
n miejscu niż życie, w innym
— w święto, w zamkniętym,
nym budynku. Jeżeli jednak
teatru rozumieć jako dzia-
które usensowiają nasze ży-
zez odwołanie się do znaków,
— to w takim razie czym
monstracja uliczna, posiedze-
mu, plenum KC, zebranie
ności” — słowem Polska 81.

— Wydaje mi się, że jest to
próba nadania temu, co się
ekszej rangi, większego zna-
Jednocześnie — samooczysz-
się z tych wszystkich nie-
czności, w których tkwiło się
d wielu lat. Owa teatraliza-
a społecznego jest chyba tak-
kiem ludzkiej potrzeby za-
i spontaniczności, potrzeby
tworzenia sytuacji, w której
y z ludźmi stają się bardziej
w której jest potrzeba prze-
codziennej rutyny. Tak by-
rzykład w sytuacjach straj-
Ale obok tego widzę też
tradycyjnego aktorstwa, gra-

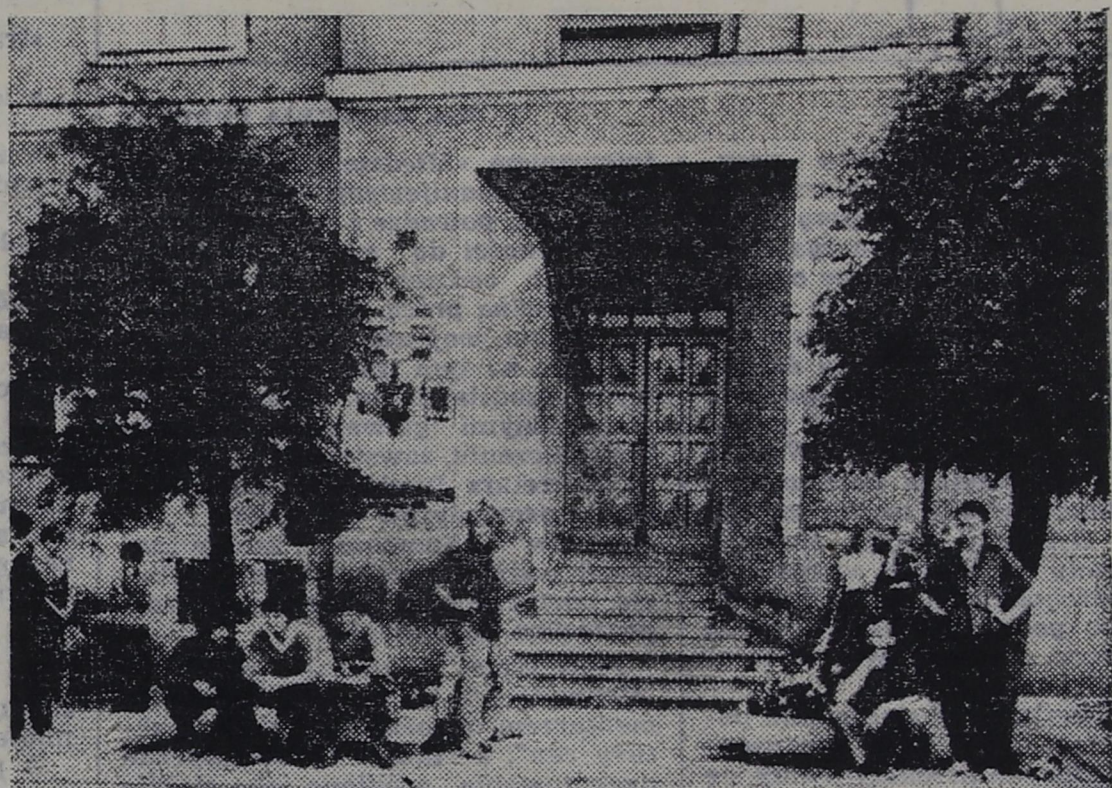
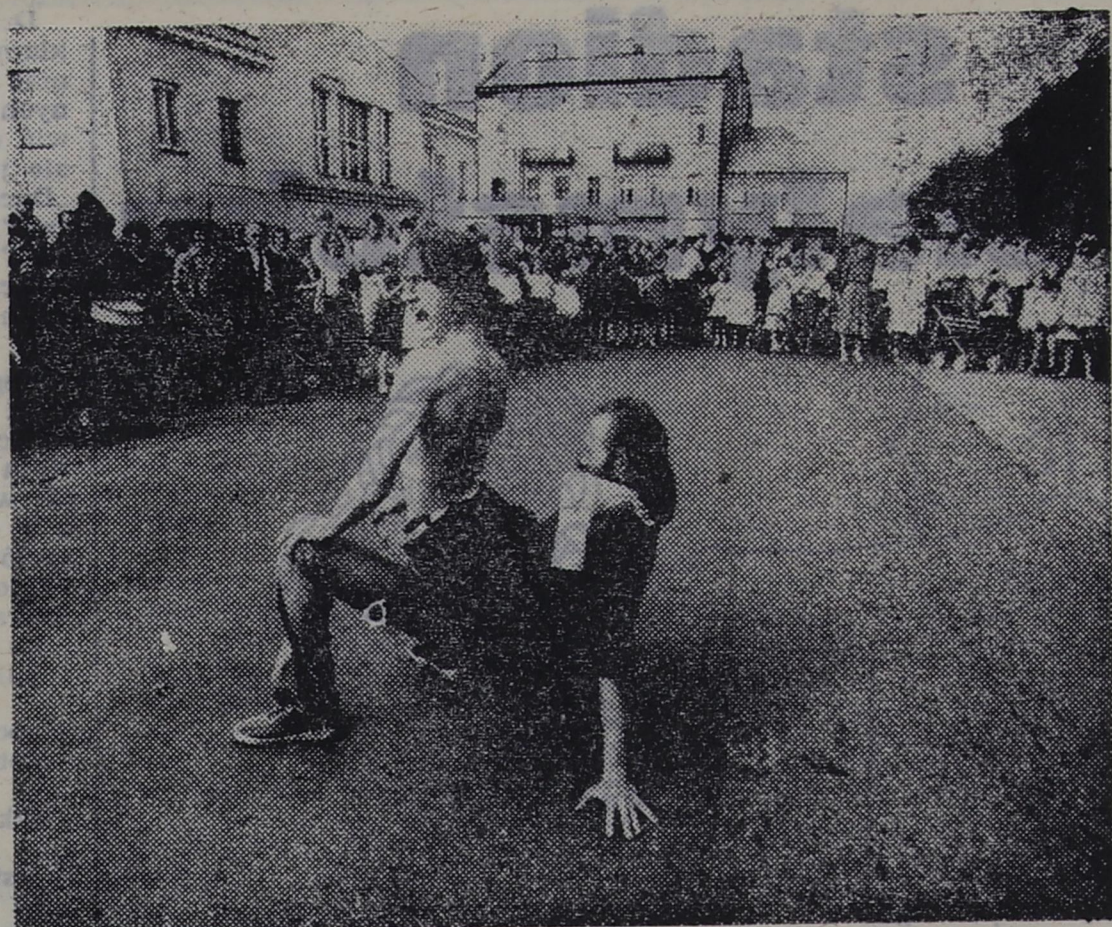
Widzę — Więc Szeryf, który pilnu-
e, Polonezie” porządku: ja, któ-
po opłynąć kulę ziemską; Wa-
gulSejm; plenum i uliczna de-
oracja — wszystko to stało się
ż i w dwojakim sensie. Z jed-
ony — wzniosłym i wielkim,
ejm naszym życiu tego prze-
ia, które immanentnie tkwi
bnie ludowej. Z drugiej — w
złym, mianowicie udawania.
m, że pierwszy występ Wa-
zł mnie dokumentnie. Nad-
mboli sprawił, iż był to teatr
eperszym wydaniu. I to, że wiel-
ria narodowa zaczyna się od
eci widowiska zdenerwowało
to oraz jednak spektakle Wałę-
buenomenalne!



a niva mi się jeszcze. refleksja
razasza, nie bez związku zresztą
ze o czym tu mówiliśmy.
moim zdaniem, życie polega
raniiu z bogatego zasobu kultu-
iczu wzorców określonego sce-
lasta. Wybiera się po prostu o-
rzy wariant: dobrego dyrekto-
owi Juana, skrzywdzonej matki,
obego ojca itd., aż do takich,
awiając świata, Mesjasz, Zba-
g Wszystko zależy od tego, jak
preko w scenariuszu się posu-
natomiast, czy zamkną go w
edy psychiatrycznym, czy rze-
ie zostanie zbawcą nie zale-
u, mniej od jego kondycji psy-
dy, gdyż jest to sprawa wgląd-
od tego, czy znajdzie wy-
w. Wszystkie jednostki cho-
notowane w psychiatrii moż-
iem znaleźć w osobowościach
tego świata: różnica mię-
ni, którzy siedzą zamknięci
oszczy, a tymi, o których z
czeniem mówimy ONI jest ta-
tamci nie znaleźli wyznaw-

Sluchal: W.T.

GABOR LÖRINCZY (5)
BOLESŁAW DEPTUŁA (1)



fraszki

Stanisław
Zieliński

PO PODWYŻCE

Mają chłopcy
Raj(stopy)

EDUKACJA

Świt zaświtał w głowie chłopca
I rozjaśnił nocne mroki
Już się cieszył, że świat poznał
Ale smutne miał widoki
Więc czym prędzej radość schował
I z widoków zrezygnował

CHŁOPSKA UCZCIWOŚĆ

Jeśli już doje
To krowy swoje

ZADUMA

Chłop zmartwiony stoi w polu
Nikt mu w pracy nie pomoże
Ma po ojcu w spadku grabie
A chciałby czymś skosić zboże

O TRZECH BUDRYSACH

Jeden poległ w trawie
Drugi wszczynął sprzeczkę
Trzeci z wędką szedł na ryby,
Ale zgubił rzeczkę

DEKLARACJA

Popłynę na fali
Niech się fala ustali

PARTNERSTWO

Wyjaśnił staw szuwarom:
Jestem zdania
Że możecie zostać
Tylko bez... szmerania

CHWILA I FAUST

Fust do Chwili
Chwilo trwaj
A Chwila
Patataj patataj

KONTROWERSJE

Zwrócił uwagę żółwiowi rak
Że zbyt powoli idzie i nie tak

UŚMIECH CZASU

Cóż o mnie pan powie
Zamyśliła się pszenica jarka
Jestem jeszcze taka młoda
A utraciłam już wszystkie ziarenka

AFERA

Szmer podniosły maki
W makówkach znowu brak.

Zenon Piechociński

EKSPERTYZA

W sprawie tej budowli słychać takie
zdanie:
Stropy jej zniszczyło zbyt
podpieranie.

NIEMAŁO

Niemato nas, niemato
Do uczciwości się przyznało.

ZDOLNY

Potrafił nam zagadać masę,
Że zaniósł go do kasy.

POSTĘP

Dobrze się zapowiadał — teraz
Ma prezentera.

AWANS

Kiedyś niósł sztandar — dziś się
nie trudzi:
Wynajął ludzi.

KŁOPOT

Opisałby świat prawdziwy
Ale nie ma dyrektywy.

Z PEWNEJ NARADY

Rzecz tu epokową rozważa szereg
osób:
Jakby tu zrobić odnowę — w stary
sposób?

POZYCJE

Jedni byli na fali
Inni na brzegu stali.

TEATRALNA

Nie wymagajmy owacji
Już przy zmianie demokracji.

OBSZEDŁ

Obszedł przeszkodę bokiem?
Ale paradnym krokiem.

OBSADA

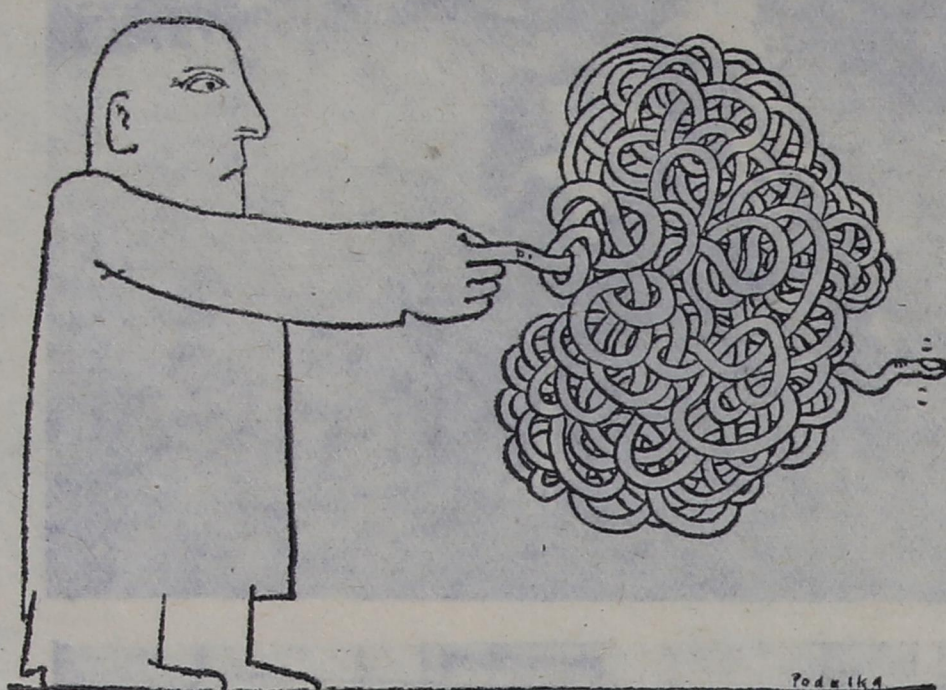
Reżyser, scenograf — osoby
dramatu.
Aktorzy? Dla nich zabrakło eiatów.

SZCZĘŚCIARZ

I to od razu medalowe.
Miejsce pod stołcem ma gotowe



stadion w Białymstoku



Rys. ANDRZEJA PODULKI

1.
Jak przez mgłę widzę ekran telewizora, a na nim portret ruszający ustami. Jest czwartkowy wieczór, 24 czerwca 1976 r. Jaroszewicz ogłasza podwyżki. Jest pewien siebie i pewien Sejmu, który dopiero co udzielił absolutorium rządowi. Jest pewien Edwarda Babiucha, który powie przed Sejmem jedno z największych kłamstw, jakie ten Sejm poprze, a to iż „celem propozycji rządu jest podniesienie poziomu spożycia ludności, a zaletą tej koncepcji jest głęboka zasadność ekonomiczna, a równocześnie pryncypialna zgodność z humanistycznymi (!) założeniami naszego ustroju i zasadami polityki społecznej naszej partii”. „Są to propozycje przemyślane — powie też Babiuch bez zmużenia oka — kompleksowe i rzetelne, mają głębokie uzasadnienie społeczno-ekonomiczne i polityczne. Wychodzą na spotkanie nieodpartym koniecznościom i mają na celu stworzenie niezbędnych warunków dla dalszej pełnej i konsekwentnej realizacji strategii VI i VII Zjazdu”. Po jego wystąpieniu Sejm podjął uchwałę o poparciu projektu podwyżek. Czwartek się zakończył. Zaczął się piątek

2.
Jak wyglądał — wiemy. Robotnicy całego kraju „manifestowali swe gorące poparcie” dla debła Gierka — Jaroszewicz. Tak pisała wtedy o tym prasa: „Jesteśmy z Wami Towarzyszu Gierku! Pełna aprobatą społeczeństwa dla polityki partii i rządu”; „Polska ostatniej dni czerwca ponownie powiedziała polityce partii — „tak”. Manifestacje stały się najlepszym odbiciem tego, co naprawdę myśli i czuje pracująca Polska”.

A wieczorem telewizor pokazał nam tę samą, co w czwartek choć nieco bledszą, twarz premiera. Mówiła rzeczy tyleż śmieszne, co groźne, np.: „W ciągu dnia dzisiejszego w większości zakładów pracy w całym kraju odbywały się konsultacje”. Albo: „Złożono ogromnie dużo konkretnych propozycji zasługujących na bardzo wnikliwe rozpatrzenie”. I nie to było groźne, że wkrótce sądy zajęły się „rozpatrywaniem” robotniczych propozycji. Społeczeństwo zrozumiało, że jest rządzone przez marionetkowych przywódców, ludzi o podwójnej moralności, pozbawionych skrupułów i honoru. To był cios także dla władzy średniego szczebla, która po prostu zaczęła strajkować, sabotując przez następne cztery lata pomysły skompromitowanych szefów. A trzeba przyznać, że fantazja im dopisywała: Jaroszewicz podpisywał rocznie ok. 300 zarządzeń, czyli jedno dziennie odejmując urlop; z czego połowa nawzajem się znosiła.

3.
Po tym „czarnym piątku” przyszedł sobota i niedziela, też „czarne”. Zakłady pracy zganił na wiece poparcia dla najlepszych synów — Gierka i Jaroszewicza oraz wiece potępienia dla synów najgorszych tego narodu — judaszów i warcholów przebranych za robotników. Było to okrutne naigrywanie się z poczucia godności narodu. Ale już zbrodnia należy nazwać przymuszanie robotników do podpisywania się pod deklaracjami potępiającymi ich braci z Radomia i Ursusa. Np. zebrani — a raczej spędzeni — na stadionie im. Kusocińskiego w Białymstoku, robot-

nicy największych zakładów „przyjęli” projekt takiej oto wiernopoddańczej rezolucji: „Wierzymy Wam Towarzyszu Gierku i Towarzyszu Jaroszewicz, Szanujemy Wasze ogromne zaangażowanie i osobisty wkład w wytyczanie i realizację śmiałej i słusznej polityki, która służy dalszemu rozwojowi Polski i jest zgodna z żywotnymi interesami ludzi pracy. Ze swej strony zapewniamy Was, że rzetelną i obywatelską postawą będziemy umacniać siłę naszej socjalistycznej Ojczyzny dając śmiały i zdecydowany odpór tym wszystkim, którzy warcholstwem i nieodpowiedzialnością godzą w nasz wspólny dom. Gorąco życzymy Wam Towarzysze [...]” — itd.

Nad „wiecującymi” stadionami powiewały narodowe flagi i transparenty, na których przekrzykiwały się hasła: „Warcholstwo nie przejdzie” (Łomża); „Ludzie pracy Białostoccyżny zawsze z Wami Towarzyszu Gierku”; „Młodzież zawsze z partią i Towarzyszem Gierkiem”; „Budowlani budują z Wami — Towarzyszu Gierku!”.

W „Gazecie Współczesnej” z 28 czerwca 1976 — jakże innej od współczesnej — czytaliśmy: „Ludzie pracy przyszedł na te wiece, aby dać wyraz swemu poparciu dla kierownictwa partii, szczególnie zaś dla towarzysza Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza, podziękować im za konsekwencję z jaką jako przywódcy narodu przestrzegają zasad demokracji socjalistycznej”. Anonimowy autor sam pisał rozstrzelonym drukiem słowa, które dzisiaj należałoby tak właśnie cytować, aby podkreślić ich bezprzykładne zakłamanie.

4.
Te komentarze pęczniały kłamstwem i cynizmem ich autorów. Reporterom „GW” w te czarne dni dopisywał także dobry humor, czarny humor. Pisali: Wiec kończy się od-

spiewaniem „Międzynarodówki”. Uczestnicy manifestacji udają się w skupieniu, powadze i poczuciu odpowiedzialności do swych zakładów pracy i codziennych obowiązków, aby rzetelną pracą jak najlepiej służyć miastu, województwu i krajowi”. Byłem na tym tragiczno-groteskowym przedstawieniu. Ludzie stali ze spuszczonej głowami, w całkowitym milczeniu, zawstyżeni i bezradni. Sekretarz Juskiewicz potępił z kartki przewodników warcholów z „Uchwyty” i „Spomaszu”, którzy „zamiast podjąć demokratyczną dyskusję, porzucili pracę jeszcze przed rozpoczęciem konsultacji”.

Piotr Grześ wyleciał z pracy w „Uchwytych”, bo zajmował się „komentarzem odnośnie projektu struktury cen”, a takie demokratyczne dyskusowanie „oceniono jako ciężkie (!) naruszenie podstawowych obowiązków, wynikających z umowy o pracę” (!). Na podobnej „podstawie” rozwiązano umowę o pracę ze skutkiem natychmiastowym, a więc bezprawnie, z ponad 60 osobami w Białymstoku. Marię Adamiak z „Fast” pozabawiono środków utrzymania w zawansowanej ciąży. Toteż cisza zalegała nad stadionem, groźna cisza; dwoje dziennikarzy „GW” miało jednak odwagę napisać: „Wystąpienie towarzysza Juskiewicza przerywane jest często oklaskami i słowami aprobaty”.

Te „słowa aprobaty”, to były ciche przekleństwa; stałem w tłumie, który bynajmniej nie przyszedł na ten stadion „aby dać wyraz swego najszerszego (!!) zaufania do przywódcy naszego narodu” — jak gorąco pisali dziennikarze Ł. i H. I nie była to „manifestacja patriotyzmu i zaufania”, a także nie dominował na niej „ten duch patriotyzmu i zaufania do kierownictwa politycznego naszego kraju na czele z Edwardem Gierkiem, który przebiega także w publicznych dyskusjach i prywatnych rozmowach”.

Dziennikarzom nie wystarczyło kłamać, to musieli jeszcze napominać błędów logicznych i gramatycznych. Do własnego kraju można żywić uczucia patriotyzmu i zaufania, ale już do kierownictwa nie można. „Duch patriotyzmu do kierownictwa”; „Duch zaufania do kierownictwa”? To już lepiej po polsku, choć w trybie jak najbardziej warunkowym.

5.
Tego samego dnia, kiedy Jaroszewicz ogłaszał w Sejmie podwyżki, a cyniczne jego wystąpienie transmitowała telewizja, znalazłem w pocście czerwcowy numer „Nowego Wyraza”, a w nim siedem nowych wierszy na czołówce. Numer otwierał wiersz pt. „Polon”, a na 7 stronie czernił się wierszyk pt. „Na fotografii”. Oto on: na fotografii tonącego dnia milczą koleжки szumi wentylator głośnika obcy nienaturalnie obcy głos mówi dobry wieczór państwu co u państwa słychać jak wam smakuje mięso naszych kamer jest odpowiedź dzięki bogu jakoś leci ale on ciągnie na przykład wasz sąsiad ma lewe oko szklane stracił je w grudniu po południu gdzieś nad morzem a teraz twierdzi że to oko to wcale nie oko a cytat z marksa albo bądź tak dobry mówi żona usiądź obok połóż ręce na stół liczy wasze palce wczoraj dodaje względem jasności znalazłam w odkurzaczu podejrzywam

obcy kciuk Na fotografii dnia tonącego w wieczorze nadal milczą koleжки, a wentylator głośnika sączył nam do uszu nienaturalnie obcy głos naszego premiera, który; choć był nasz, nikt z nas go nie wybierał. Człowiek ten mówił nam o mięsie za pomocą kamer, których „mięso” — czyli obrazy rzucane na siatkówkę naszych oczu — z każdym dniem mniej nam smakowała. I wreszcie naród zwyknął.

A przykład z wierszem, który zaprojektował w wyobraźni autora wszystko to, co wydarzyło się w czerwcu — pół roku wcześniej — niech będzie kolejnym małym dowodem, na to, że ten protest nie był nagłym wybuchem. Nie, protest czerwcowy fermentował w myślach i sercach narodu długo przed czerwcem, a zapowiedź podwyżek stała się korkiem, który wystrzelił, choć nie powinien był, bo zacierał nie nadawał się jeszcze do wypicia; a mówiąc prościej: — robotnicy nie byli jeszcze przygotowani do stoczenia zwycięskiego pojedynku z tymi, którzy uważali się za właścicieli Polski Ludowej. Nie mieli jeszcze tego „ducha”, o którym pisali dziennikarze „GW”.

Ten „duch patriotyzmu”, jaki przebiegał w tamtych czasach w publicznych dyskusjach, a jeszcze częściej w prywatnych rozmowach, ucieleśniał się w sierpniu ubiegłego roku. Gdyby nam tego ducha wtedy zabrakło, mielibyśmy dzisiaj zamiast obchodów rocznic czerwcowych manifestacji poparcia i „najszerszego zaufania” oraz transparenty nad skołowanymi głowami: „Budowlani budują z Wami, Towarzyszu Gierku!”.

MAREK KUSIBA

miłoszowanie

Ten felieton spóźnił się nieco. Ale nie aż tak bardzo, jak łomżyńska Wiosna Poetycka. Jej imprezy zawiozły się dopiero na kilka dni przed początkiem lata. A mawiają naukowcy rolnikom: — Nawet najlepsze ziarno wrzucone w glebę po terminach agrotechnicznych, plon daje mizerny. Ale czy to chce ktoś słuchać przestróg? Z ubiegłej wiosny dorobek przechował się do tej pory i stał się trwałym elementem zdobniczym księgarskiej witryny.

Tej dolinie Narwi nie nie brakowało oprócz uświetnienia. Łomża na ustach i w oczach całego świata. Wszyscy zachodzą w głowę, jakie to argumenty przekonały Miłosza, że zechciał właśnie tu przyjechać. A to proste i jasne. Nigdzie w Polsce nie znajdzie się tak rozpoetyzowanych mieszkańców, tak zainteresowanych książką, czasopiśmami; to tutaj przecież po okolicznych pagórkach ugania się za pegazem niejedyn rolnik. Tak

więc łomżyński przystanek nie mógł być nie uwzględniony w programie podróży po Polsce Czesława Miłosza. Aktyw kulturalny przygotowywał się na to pomazanie już od dłuższego czasu. Jeden z jego członków przemyślał, jak zdobyć fundusze na nowy garnitur: bo to nie wypada stanąć w byle stroju przed Nobliwym Poetą. Pożyczać od znajomych więcej już nie można, bo żyranci jeszcze nie spłacili poprzedniego długu. Państwowa kiesa mimo kryzysu, ułitowała się — jak powiadają ludzie — nad chudością i minimum (socjalnym) łomżyńskiej poezji. Wszak jej stróż świadczy o nas. Toteż od czasu do czasu garnitur, a i ceremonial, można było dopinać na ostatni guzik.

Nad ziemią pojawiło się słońce, choć niejedno „oko nie widziało, ucho nie słyszało a to było”. Najpierw w Nowogrodzie kurpiowskim, Chytra zbieżność z Nowogrodkiem na Litwie

wzniciła tęsknicę w Poecie, który już nad Narwią wypatrywał choćby cienia rodzinnego krajobrazu.

Powiew wielkiego świata zaproszył widzenie rzeczywistości we właściwych proporcjach. Jedyna turystka, która zwiedzała skansen kurpiowski, prawie zawsze pustawy, przerażała swiętą i elitę niemalże tak samo, jak tłum amerykańskich wielbicieli. Ze skrupulatnością i stanowczo, ale — co trzeba podkreślić — bez ręką i nogoczynów aktyw kulturalny rozprawiał się z bardziej przedsiębiorczymi amatorami własnoręcznie robionych fotografii Miłosza do rodzinnego albumu. Przy czym nie obeszło się bez pomyłek. Ogromna, przeogromna, chyba największa jaka Łomża ma — sala kina „Październik” — nie mogła pomieścić nawet tych wybranych wielbicieli poezji Miłosza. Szczęśliwcy skupili się tłumnie, w zadumie i oczekiwaniu. Poezja wkroczyła z półgodzinnym opóźnieniem zmęczona intensywnym dniem, z na-

dzieją na co najmniej 15-minutowy odpoczynek w fotelu. Mimo protestu: — „A ja tam po co? — została wciągnięta na scenę. „Tak mało powiedziałem” — nie, takich słów zawodu sala nie wyrzekła. Ci, co siedzieli bliżej, odnotowali wszystkie zmarszczki — o wiele ich więcej niż w telewizji — kolor i jakość garnituru, krawata, koszuli, butów — byli więc całkowicie usatysfakcjonowani. Ci z galerijki i ostatnich rzędów po dwóch, trzech wierszach, a więc w chwilę po wyjściu zgonionego Pegaza — też opuszczali spotkanie z poezją Czesława Miłosza. „Tylko mi żal, proszę pana, że Pan tu przyszedł”. — Gonila za nim spieniona fraza.

Powiedzmy sobie szczerze, bez owijania w bawełnę (no bo niby skąd ją teraz brać): Czy Pan Miłosz musiał tak wcześniej opuszczać imprezy? Co mogło jeszcze poza Nim zainteresować słuchaczy? A tak powaga i cały splendor wymykał się razem z jego wyjściem. Dyskusowanie, nawet z udziałem całego literackiego krajowego gwiazdzbioru, nie wzbudzało już później większych namietności. Ech! Być poetą.

ALICJA ŚREDNICKA

grube ryby i węgorze

Nawiązując do artykułu „Swoj w urodziwym terenie” — zamieszczono w numerze 45 „Kontaktów” uprzejmie wyjaśniam, iż zamieszczona informacja moja z dnia 12 maja 1981 roku nie miała polemicznego charakteru z tezami artykułu „Grube ryby i węgorze”, a jedynie nawiązanie do tych faktów ustalonych w postępowaniu Prokuratury Wojewódzkiej, które ewentualnie mogłyby sugerować naruszenie przepisów prawa przez Naczelnika Miasta i Gminy w Rajgrodzie.

Ograniczenie informacji zawartej w piśmie Prokuratury spowodowane zostało chęcią skróconego ujęcia sprawy, jak i uwzględnienia niezbędnej komunikatywności mojej odpowiedzi. Zastosowany natomiast skrót: „Nie znalazły potwierdzenia także inne zarzuty” oznaczał, iż jako autor odpowiedzi nie dopatrywałem się przypadków naruszenia prawa powodujących aktualne wszczęcie postępowania karnego w stosunku do Naczelnika Miasta i Gminy w Rajgrodzie. Nie stwierdziła ich również Prokuratura. Zarzuty te mają charakter naruszeń prawa natury służbowej (wewnątrzadministracyjnej).

Pragnę przy tym wyjaśnić, iż je-

stem upoważniony przez Wojewodę Łomżyńskiego do formułowania odpowiedzi na krytykę prasową. To generalne upoważnienie zamieszczone w regulaminie organizacyjnym Urzędu Wojewódzkiego, jest upoważnieniem, za realizację którego ja osobiście ponoszę ryzyko jego oficjalnego stosowania. Nie było moim zamiarem — co chciałbym szczególnie podkreślić, zawężenie treści, ani też zmiany meritum ustaleń Prokuratury Wojewódzkiej, a kierowały mną jedynie względy wyżej przytoczone. Podniesiony w artykule fakt przechowywania części mebli stanowiących własność państwa w mieszkaniach prywatnych istotnie miał miejsce i stwierdzony został w trakcie kontroli prowadzonej przez przedstawicieli Urzędu Wojewódzkiego. W stosunku do winnej tego wykroczenia naczelnik wyciągnął konsekwencje w formie ostrzeżenia udzielonego kierowniczce Biblioteki Publicznej.

W odniesieniu do niepodnoszonych w piśmie Prokuratury spraw przydziału naczelnikowi F. Chrzanowskiemu talonów na samochody wyjaśniam, że w 1976 roku otrzymał on talon w warunkach przebiegu przez posiadacza przez niego „Syrenę” (około 100 tys. kilometrów) i jej niesprawności technicznej (po dwóch wypadkach), a w listopadzie 1979 r. na podstawie załączonego do podania orzeczenia rzeczoznawcy PZMot. stwierdzającego stan powypadkowy i wysoki stopień zużycia posiadanego samochodu „Fiat” 126p. Wzięto przy tym pod uwagę, że Urząd Miasta i Gminy nie dysponuje samochodem służbowym, a posiadanie przez naczelnika sprawnego środka lokomocji jest konieczne dla jego operatywnej pracy.

Zawarta w kolejnym artykule „Swoj w urodziwym terenie” informacja o żądaniu i przyjmowaniu korzyści materialnych jest przedmiotem badania Prokuratury.

Uprzejmie informuję także, że Naczelnik Miasta i Gminy w Rajgrodzie nadesłał na adres redakcji obszernie wyjaśnienie dotyczące przedstawionych w obu artykułach problemów. Zorganizuje on również spotkanie środowiskowe z mieszkań-

cami Rajgrodu, dla omówienia ze społeczeństwem całości spraw podnoszonych w obu artykułach, jak i całokształtu problemów nurtujących społeczność Rajgrodu. W spotkaniu tym weźmie udział przedstawiciel Urzędu Wojewódzkiego.

Z up. Wojewody
mgr HENRYK RAINKO
Z-ca Dyrektora Biura

Nawiązując do artykułu, który ukazał się w nr 18 „Kontaktów” pt. „Swoj w urodziwym terenie” pragnę ze swej strony wyjaśnić problemy działalności Prokuratury poruszone w tym artykule.

1) Na wstępie podkreślam, iż Prokuratura dokładnie wyjaśniła fakty dotyczące rzekomych przestępstw opisanych w artykule pt. „Grube ryby i węgorze”. Jednakże okazało się, iż w działalności Naczelnika Urzędu Miasta i Gminy nie było cech przestępstwa i dlatego nie było żadnej potrzeby dalszej interwencji Prokuratury. Stwierdzono natomiast, iż w działalności Naczelnika Chrzanowskiego można było dopatrzeć się przekroczeń służbowych i fakty te zostały przekazane Wojewodzie. Z tych względów twierdzenie autorów, iż Prokuratura pracuje pod dyktando Wojewody jest przykładem demagogii zmierzającej do wykazania za wszelką cenę, że także mają autorzy tych artykułów. Także nie jest w pełni prawdą twierdzenie o sfalszowaniu naszej informacji skierowanej do Wojewody. Autorem obydwu artykułów osobiście udostępniłem całość materiałów posiadanych przez Prokuraturę i mieli oni możliwość stwierdzenia czy informacja Prokuratury została istotnie sfalszowana.

Ponadto dodaje, iż podane w ostatnim artykule fakty żądania i przyjmowania korzyści materialnych przystają bardzo dokładnie wyjaśnione o czym poinformuję Redakcję odrębnym pismem.

Z-ca Prokuratora Woj.
mgr M. LATOS

Od autorów:
Po pierwsze — wydaje się nam, że przestępstwa nie były rzekome,

lecz służbowe, co potwierdza dochodzenie osobiście przez Pana prowadzone.

Po drugie — to nie autorzy twierdzili, że „Prokuratura pracuje pod dyktando wojewody”, lecz rajgrodzianie, którzy nie mieli okazji zapoznać się z Pańskimi ustaleniami, tylko ze źle skonstruowaną notatką sporządzoną przez Urząd Wojewódzki. Do napisania artykułu „Swoj w urodziwym terenie” zainspirowała nas więc chęć zdjęcia z Prokuratury nieuzasadnionych (przynajmniej w tym przypadku) pomówień oraz wykazanie, że pretensje i żale do naczelnika Chrzanowskiego zgłaszano jeszcze przed naszym artykułem „Grube ryby i węgorze”. Nie przypuszczaliśmy, że swoje myśli i intencje wyrazimy aż tak mętnie, iż prokurator Latos zrozumie je na opak. Znamienną jest przy tym rzeczą, że podobnych trudności z prawidłowym odczytaniem tekstu nie mieli Czytelnicy. Jednocześnie też zrozumieli notatkę prostującą, co znalazło wyraz w licznych telefonach i korespondencji skierowanej do redakcji „Kontaktów”. List zawiera również inne informacje zasługujące na sprawdzenie.

Po trzecie — dziwi nas, że Prokuratura Wojewódzka zajęła się jedynie sprawami wykroczeń naczelnika Chrzanowskiego, które są dużo mniej istotne, niż przedstawiony w drugiej części artykułu „Grube ryby i węgorze” mechanizm wędrówek węgorza po różnych szczeblach administracji. Temat wydaje się wart zgłębienia choćby po to, aby móc unikać w przyszłości plagi łapówkarstwa.

Po czwarte — dziękujemy panu prokuratorowi Latosowi za zainteresowanie się sprawą i mamy nadzieję, że będzie Pan raczył zająć się bardziej kompleksowo bolączkami rajgrodzian; nie tylko tymi, o których wspominaliśmy w artykule. Wskazane byłoby wnikliwe zbadanie dokumentów i faktów, dotyczących działalności GS oraz Banku Spółdzielczego (szczególnie sposobu i celowości udzielania kredytów oraz ich rozliczeń).

D. i A. WRONISZEWSKY

nagi błazen

Jest dzisiaj wielu „naprawiaczy”, pojawił się też nowy zawód „żadacza”, jak to określili M. Rakowski.

Jedni próbują rzetelnych ocen i analiz i wyprowadzają konstruktywne wnioski, ale więcej niestety jest tych, którzy — bez analizy — wręcz demagogicznie powtarzają wyświechtane slogany; przekreślają to wszystko, co było robione w ostatnim dziesięcioleciu, a niektórzy nawet cały powojenny okres. Zapominają często, że wyszli z bardzo i to bardzo zaoferowanych wsi, że dzięki pracy ich ojców pokończyli studia i że sami współtworzyli naszą rzeczywistość.

Negując wszystko, co dokonało się w naszym kraju przekreślają pracę swoich ojców i własną. Zapominają o wszystkim.

Jest wręcz znamienne, że przez pryzmat pustych pólek sklepowych, jakie od pewnego czasu nam stale towarzyszą, jesteśmy skłonni wszystko przekreślić. Puste ludy są argumentem tych, którzy walcą o mocniejszą pozycję rolnictwa i gospodarki żywnościowej w całości gospodarki narodowej, ale i tych, którzy demagogicznie przekreślają wszystko, co dotychczas robiono i zrobiono na wsi i w rolnictwie.

Rzeczywiście udział rolnictwa w ostatnich latach w nakładach na całą gospodarkę był daleko niewystarczający; w samym rolnictwie zbyt forsownie inwestowano w rolnictwo uspołecznione, ale prawdą jest — a o tym nikt nie chce pamiętać, że w ostatnich sześciu kolejnych latach tylko w roku 1976 pogoda sprzyjała produkcji rolnej. Nie mieliśmy w okresie powojennym takiego układu złych lat pod względem pogody. Inna sprawa, że rolnictwo wysoko zainwestowane lepiej znosi niekorzystne warunki pogodowe. Ale nie ludźmy się. Pogoda jest i będzie czynnikiem bardzo ważnym i wpływać będzie na wyniki w rolnictwie.

Bo proszę zauważyć, że np. w 1980 r. zbiór buraków cukrowych i

produkcja cukru była niższa o ponad jedną trzecią niż w kilku ostatnich latach i była niższa aniżeli 20 lat temu, a zbiór ziemniaków o prawie połowę niższy od plonów w 1979 r. i o 30 procent — od uzyskiwanych dwadzieścia lat temu; kiedy to nawożenie mineralne było ponad pięciokrotnie niższe; a rolnictwo dysponowało dziesięciokrotnie mniejszą ilością ciągników. Można także przypomnieć, że ludność zwiększyła się w tym czasie o 6 mln. osób. Można mieć oczywiście pretensję do władz; do tych, którzy bilansują gospodarkę o to, ażeby zawsze liczyć się z możliwością nieurodzaju i na takie lata tworzyć rezerwy, która pozwala na łagodne przetrwanie.

Ale dzisiaj każde rzeczowe rozważanie nad naszą sytuacją gospodarczą i rynkową muszą uwzględniać wszystkie uwarunkowania. Stąd też nie mogę się zgodzić z refleksjami, jakie zawarł w swoich rozważaniach Stanisław Zieliński w artykule „Nagi błazen” (Kontakty Nr 25): „Teraz mówi się »To jest wina ekipy partyjno-rządowej z lat siedemdziesiątych«, ale by ten wniosek wyciągnąć trzeba było aż strajków, społecznych buntów i protestów, pustych pólek sklepowych. A przecież poprzednie decyzje, na przykład w województwie łomżyńskim przechodziły przez ręce tego samego Wojewody, tego samego dyrektora Wydziału Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego, tych samych naczelników. Wszyscy jednakowo byli świadomi dokonywanych błędów. Gdzie przebywał Edward Gierek, sami ścigali najlepsze sztuki bytła od chłopów do pegeerów i specjalistów, wydawali przyjęcia na tę część, a pokątnie śmiali się i opowiadali sobie dowcipy i szli coraz większe kłapy do odznaczeń. Wytrawni cyrkowcy. Nigdy nie mieli gospodarskiej rzetelności i dziecięcej odwagi zawołać »Król jest nagi«. Teraz dziwią się, że nie ma żywności [...]”.

Są to stwierdzenia zarówno naiwne, co i wyświechtane, demagogiczne formułowane pod publiczność, a jednocześnie zmyślane, oskarżające ludzi sprawujących funkcje, wręcz ubliżające im — wrzucenie wszystkich do jednego worka. Tylko błazni mogą sprawować funkcje w urzędach — stwierdza redaktor Zieliński i jeśli chce być sprawiedliwy, to przynaj-

mniej do tej grupy niech dołączy większość, i to zdecydowaną, swoich kolegów po piórze.

Ale przejdźmy od emocji do konkretów. Jakież to decyzje przechodziły przez ręce tego samego Wojewody, tego samego dyrektora Wydziału Rolnictwa, tych samych naczelników, które doprowadziły do ruiny rolnictwo łomżyńskie? Czy te, które stworzyły warunki do obrotu ziemią, w wyniku których średnia wielkość gospodarstwa indywidualnego wzrosła za ostatnie pięć lat w łomżyńskim o 0,5 ha, podczas gdy w kraju uległa zmniejszeniu o 0,1 ha; czy te które pozwalały na powiększanie gospodarstw ponad 20 ha; czy te które pozwalały na powiększenie gospodarstw ponad 20 ha (pomimo ograniczeń w obowiązujących do dzisiaj zarządzeniach Ministra Rolnictwa), podczas gdy w wielu województwach było to skrupulatnie przeszkadzane; czy te, kiedy na Kolegium Ministra Rolnictwa w 1976 r., w zatwierdzonym programie wdrażania specjalizacji zapisano przy bardzo aktywnym domaganiu się tego ze strony przedstawicieli władz wojewódzkich konieczności tworzenia warunków: oparcia mechanizacji prac w gospodarstwie rolnym o własny sprzęt mechaniczny. Czy może te decyzje, które podejmował dyrektor Wydziału Rolnictwa na indywidualne upoważnienie dotyczące umorzeń, kredytów inwestycyjnych pobranych na budynki wykonane według dokumentacji indywidualnej, a nie typowej.

A może i te działania, które doprowadziły do tego, że w ostatnich pięciu latach zrównaliśmy się ze średnim poziomem wyposażenia w ciągniki gospodarki indywidualnej. W roku 1975 na jeden ciągnik w gospodarce indywidualnej przypadło w województwie 138 ha (w kraju 67) ha, a w 1980 r., kiedy rolnicy brnąc po kolana w błocie zbierali buraki i ziemniaki, zawieźliśmy ówczesnego ministra rolnictwa L. Kłonicę i pokazaliśmy pola we wsiach Miodusy, Wólka i inne w gminie Wysokie Mazowieckie po to, ażeby naocznie przekonać o pilnej konieczności drenowania tych i innych pól. Być może, ktoś uzna za działanie na szkodę wsi i to E. Gierek, J. Pińkowski, J. Tejchbrun, J. Zieliński, J. Wojtecki — kiedy przybywali do województwa

byli proszeni przez władze wojewódzkie do odwiedzenia wsi po to, ażeby pokazać jakie możliwości tkwią w gospodarstwach indywidualnych i że trzeba, ażeby wszystkie gospodarstwa mogły się szybko rozwijać przynosząc potrzebną produkcję rolną i tworząc warunki do lepszego bytu na wsi.

I chcę poinformować, że kiedy E. Gierek przebywał we wsi Szczoduchy, to nikt nie ścigał bytła do rolnika, pana Luniewskiego. Rolnicy tej wsi, którzy wystąpili w roli gospodarzy godnie reprezentowali swoją funkcję i nie zapomnieli o przekazaniu spraw, które ich jako producentów rolnych i mieszkańców wsi nurtowały. A że z szacunkiem odnosili się do gości nie jest to ujmą, wręcz przeciwnie. Dzisiaj co niektórzy chcą ażeby poniewierać tych wszystkich, którym przyszło pełnić jakąkolwiek władzę.

Można długo podawać przykłady decyzji i działań, które podejmowano w rolnictwie łomżyńskim. Czy nie można znaleźć dzisiaj wśród tysięcy decyzji, jakie podejmowano w tych latach w sprawach indywidualnych — rozstrzygnięć dyskusyjnych czy wręcz krzywdzących? Na pewno tak; nie ma i dzisiaj gwarancji, że z każdej decyzji strony będą zadowolone, chociaż w znacznym stopniu wzrosła rola samorządu przy ich podejmowaniu. Występuje tu bardzo często i występować będzie sprzeczność interesu stron: czy to pojedynczych osób, czy też zbiorowości.

Redaktor Zieliński pisze dalej: „Pomimo tylu miesięcy odnowy, zapowiedzi o uchwatach, decyzjach, papierkach różnej maści, na wsi wiele gnuśności trwa”.

Ja jednak dostrzegam zmiany. Bo przecież po podwyżce cen nastąpiło wyraźne ożywienie produkcyjne: m.in. ten głośny krzyk o maszynę i inne środki produkcji to potwierdza; przecież reaktywowanie kilkudziesięciu szkół na wsi od nowego roku, to też wynik odnowy. Bo wreszcie: jeśli nawet ktoś odnowę traktuje jako mechaniczną zmianę ludzi na stanowiskach, to powinien dostrzec, że coraz chętniej następcy przejmują gospodarstwa po swoich ojcach.

WACŁAW REDLIŃSKI
wicewojewoda łomżyński

11

KONTAKTY
19 VII 1981

połemiki



MOTTO:

Szczęście nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

UŻYTEK

Wygnanie przyjęte jako przeznaczenie tak, jak przyjmujemy nieuleczalną chorobę, powinno nam pomóc w zobaczeniu naszych złudzeń. (Myślę, że jest to jedyna z dobrych stron wygnania i obawiam się, że niektórzy z moich kolegów, którzy pozostali w Polsce, nie leczą się dostatecznie ze swoich złudzeń).

WZÓR

Byłem świadom swego zadania. Ludzie czekali na jego słowa, ale zakazano mu mówić. Tam, gdzie teraz mieszka, może mówić, ale nikt go nie słucha. I co więcej, zapomnieli, co miał do powiedzenia. Komentarz do powyższego. Cenzura może tolerować różne awangardowe figle, bo zajmują one pisarzom czas i czynią z literatury niewinną rozrywkę dla bardzo ograniczonej ich liczby. Ale gdy tylko pisarz okaże zainteresowanie rzeczywistością, cenzura uderza. Jeżeli w wyniku banicji lub jego własnej decyzji znajdzie się na wygnaniu wyrzuci z siebie długo hamowane uczucia gniewu, swoje obserwacje i refleksje; uważając to za swój obowiązek i posłannictwo. Jednak to, co w jego kraju traktowane jest jako sprawa życia i śmierci nie obchodzi nikogo za granicą lub wywołuje zainteresowanie z przypadkowych powodów. Tak więc pisarz przekonuje się, że nie może zwracać się do tych, którym na nim zależy, natomiast może się zwracać tylko do tych, którym nie zależy na nim. Stopniowo przyzwyczajają się do społeczeństwa, w którym żyje, a jego wiedza o życiu codziennym w kraju skąd przybył zmienia się z dotykanej na teoretyczną. Jeżeli nadal zajmuje się tymi samymi problemami co przedtem, jego dzieło traci bezpośredniość schwytanego na gorąco doświadczenia. Dlatego musi wybrać: albo skazać się na jałowość, albo przejść całkowitą przemianę.

NOWE OCZY

Nowe oczy, nowa myśl, nowy dystans. Ze tego potrzebuje pisarz na wygnaniu jest oczywiste. Ale czy pokona swoje dawne ja, zależy od zasobów, o których przedtem sam niewiele wiedział, że istnieją. Jedną z niewielu otwierających się możliwości, to zmiana języka. Może to zrobić albo dosłownie, pisząc w języku kraju osiedlenia, albo używając rodzimego w taki sposób, że to, co pisze będzie zrozumiałe i przyjęte przez nową publiczność. Wtedy jednak przestanie być wygnanym. Inny, znacznie trudniejszy wybór polega na zachowaniu swojej postulo-wej i wyobrażonej obecności w kraju, z którego pochodzi. Wyobrażonej, bo musi unaocznic sobie historię i literaturę swojego kraju jako jeden organizm rozwijający się w czasie i wyznaczyć swojemu dziełu funkcję w tym ruchu, który prowadzi od przeszłości do przyszłości. Zakłada to ciągłe rozrachunki z tradycją w poszukiwaniu żywotnych korzeni, oraz krytyczną obserwację dnia dzisiejszego. Pewne gatunki literackie, np. powieść realistyczna i pewne style, z samego założenia nie mogą być uprawiane na wygnaniu. Z drugiej strony warunki wygnania wymuszające na pisarzu rozliczne perspektywy sprzyjają innym gatunkom i stylom, szczególnie tym, które są związane z symboliczną transpozycją rzeczywistości.

ROZPACZ

Rozpacz, nierozłączna z pierwszym etapem wygnania, może być poddana analizie i wówczas może się okazać, że jej powodem są raczej osobiste niedostatki, aniżeli ich zewnętrzne okoliczności. Istnieją trzy główne przyczyny takiej rozpacz: utrata imienia, obawa przegranej i moralna udręka.

1) Pisarz uzyskuje imię przez złożoną wymianę z czytelnikami, gdy zwraca się do szerokiej publiczności, czy do wąskiego kręgu sympatyków. Kształtuje swój pogląd widząc go w oczach tych, którzy reagują na jego dzieła. Kiedy emigruje, obraz ten zostaje nagle zamazany, co czyni go anonimowym składnikiem mas.

Przestaje istnieć nawet jako osoba, której zalety i wady były znane jej bliskim. Nikt nie wie kim jest i, jeżeli czyta o sobie w prasie, spodziewa, że dotyczące go dane są groteskowo przeinaczone. Wówczas jego poniżenie jest proporcjonalne do dumy i jest to przypuszczalnie sprawiedliwa kara. (W ciągu wielu lat wygnania nauczyłem się skromności, nauczyłem się anonimatu do tego stopnia, że godziłem się na rolę tłumacza Herberta i innych).

2) Słusznie boi się przegranej, bo tylko nieliczni mają odporność potrzebną, żeby nie ulec niszczeniu działaniu izolacji. Należał do wspólnoty pisarzy oddających się pewnemu rytuałowi, zajętych wzajemnym rozdawaniem pochwał i nagród, a teraz — ani wspólnoty, ani rytuału, ani słodkich gier zaspokojonej pamięci. Cierpi więc, bo nabrał kolektywistycznych przyzwyczajęń. Co prawdopodobnie oznacza, że nigdy nie nauczył się stać na własnych nogach. Może zwyciężyć, ale nie wcześniej, nim zgodzi się na przegraną.

Wyobraźnia kierująca się ku odrębnemu regionowi ziemi dzieciństwa jest typowa dla literatury tęsknoty. Dystans przestrzeni często służy jako przebranie dla proustowskiego dystansu w czasie. Chociaż dość rozpowszechniona, literatura tęsknoty jest tylko jednym z wariantów radzenia sobie z oderwaniem od rodzinnego kraju. Nowy punkt, który organizuje przestrzeń w odniesieniu do siebie nie może zostać wyeliminowany, tzn. nie można siebie wyabstrahować z fizycznej obecności w określonym miejscu na ziemi. Dlatego właśnie powstaje dziwne zjawisko: dwa ośrodki i dwie przestrzenie stworzone wokół nich nakładają się na siebie lub, i to jest szczęśliwe rozwiązanie, zrastają się w jedno (dlatego moja poezja pisana w Kalifornii jest poezją równocześnie mego rodzinnego powiatu i poezją Kalifornii, zrosniętych niejako w jedno, przy czym poezja moja draży niejako w głąb, historycznie przeszłość tego obszaru, z którego się wywodzi (Ci, którzy znają takie moje wiersze jak np.

zet i odbiorców telewizji, że są w błędzie, ale dochodzi do wniosku, że ani nie mógłby, ani nie powinien. Gdyby oszustwo wynikało jedynie z ignorancji albo z uprzedzeń politycznych, los współczesnych mieszkańców jaskini pozwalałby żywić pewne nadzieje. Ale co będzie jeżeli, i tego nie można wykluczyć zawczasu, oszustwo leży w samej naturze mediów t.j. mediacji? (Tzn. ja, mówiąc o cieniach w jaskini, mam przede wszystkim na myśli telewizję. Oczywiście w telewizji nie można pomieścić wszystkiego czyli wyćna się, skracają się — albo z powodów określonych przez wymagania polityczne, albo po prostu dlatego, że nie można wszystkiego zmieścić. W samej naturze tego medium jest skracanie i deformowanie rzeczywistości.)

AUTOANALIZA

Oto szkic przemówienia, które autor piszący na wygnaniu może wygłosić do siebie samego: (to będzie pocieszające) czy jesteś pewien, że twój koleś tutaj, który porusza się w świecie znanym od dzieciństwa, (tzn. w Ameryce) są w lepszej sytuacji? To prawda, że piszę w swoim własnym języku, ale czy sztuka i literatura odpowiadają temu, czego nauczyliśmy się od nich w szkole i na uniwersytecie? Czy nie zmieniły się one tak gwałtownie w ciągu ostatnich dziesięcioleci, że ich nazwy są tylko pustymi skorupkami? Czy nie stały się one przypadkiem ćwiczeniami ludzi samotnych, sygnałem wysyłanym przez wydziedziczonych? Jak wielu z tych ludzi dostaje nagrody w postaci miłości i szacunku w swoim niedużym mieście (...). (Ja osobiście chciałbym być sławnym tylko w swojej wiosce, z której pochodzę).

BÓL

Mają ten sam język co ich publiczność, ale czy widzę na twarzach blysk zrozumienia? Czy ten sam język nie jest więc złudzeniem? (...) Czy twoi koledzy są czytani i słuchani przez szerszą publiczność, czy tylko czytają siebie nawzajem? Czy jesteś pewien, że nawet siebie nawzajem czytają? Ostatecznie może tak być, że jesteś w lepszej sytuacji, twoje wygnanie ma przynajmniej nazwę. Zawsze wierzyłeś, że prawdziwym celem pisania jest dotrzeć do wszystkich ludzi i zmienić ich życie. Co jednak, jeżeli taki cel jest nieosiągalny? Czy traci przez to sens? Czy nie uważasz, że każdy z twoich kolegów tutaj, pozostał w sercu wierny tak dziecięcnemu marzeniu? Ale czy nie byłeś świadkiem ich przegranej? A jeżeli nie możesz zbawić świata, dlaczego miałbyś się troszczyć o to, czy masz dużą czy małą publiczność?

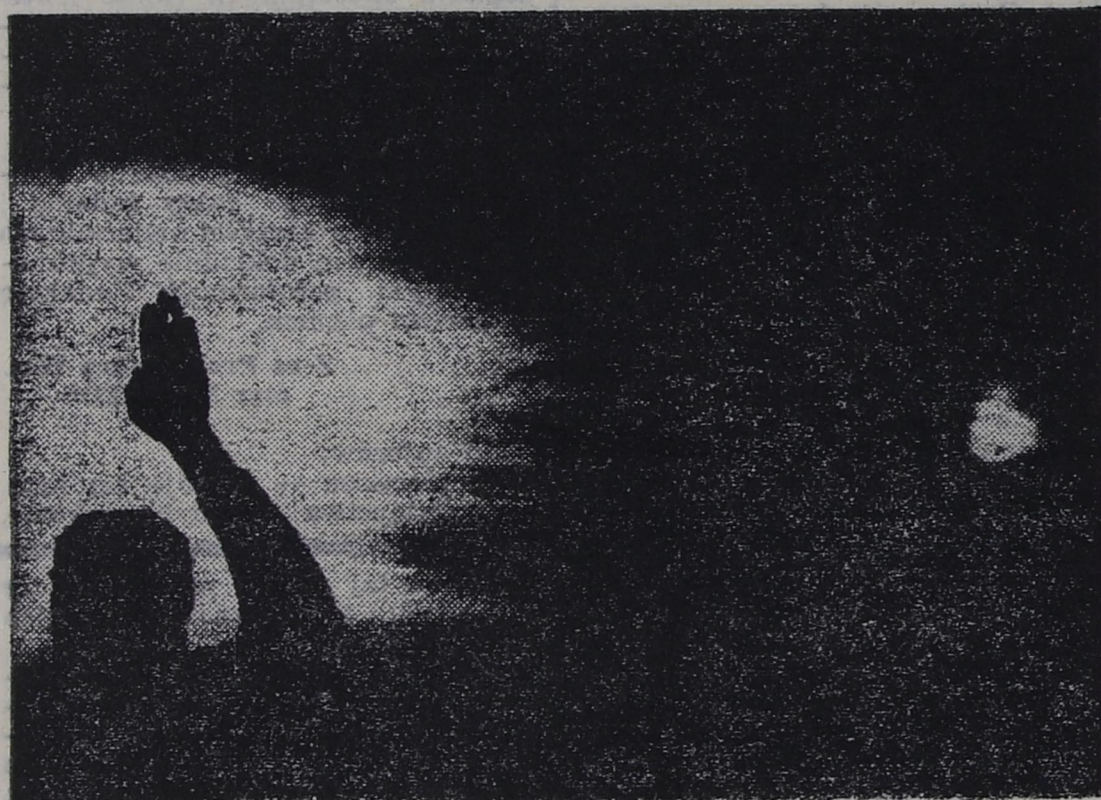
JĘZYK

Kto mieszka między ludźmi, którzy mówią językiem innym od jego własnego, odkrywa po pewnym czasie, że odczuwa swój rodzinny język na nowy sposób. Nie jest prawdą, że długi pobyt za granicą prowadzi do zubożenia stylu, choć brakuje ożywczego wpływu codziennej mowy. Natomiast jest prawdą, że odkrywa się nowe aspekty i tonacje rodzinnego języka, ponieważ są wyraźniejsze na tle języka używanego w nowym otoczeniu. Tak więc język uubożając w niektórych dziedzinach, jak idiom ulicy, dialektu, znajduje kompensatę w innych: czystość słownictwa, techniczna ekspresywność, równowaga składni. Rywalizacja między dwoma językami jest niekoniecznie typowa dla literatury pisanej na wygnaniu. Przez kilka wieków literaci w wielu krajach europejskich byli dwujęzyczni, tak jak nasz Jan Kochanowski; i nasz własny język słyszany był na tle łaciny i vice versa.

Tekst ten wygłosił Czesław Miłosz 16 czerwca 1981 r. podczas sesji Łomżyńskiej Wiosny Poetyckiej. Ukazuje się on w Polsce po raz pierwszy. Dotąd znany był jedynie na Zachodzie, w angielskiej wersji językowej. Przy okazji przekazujemy Autora i Czytelników za ewentualne nieścisłości w tekście. Jest to bowiem nieautoryzowany zapis nagrania, dokonanego ponadto w nie najlepszych warunkach technicznych.

Przygotowali do druku
DANUTA I ALEKSANDER
WRONISZEWSKY
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

noty o wygnaniu



3) Wygnanie jest podejrzane moralnie, bo zrywa solidarność z grupą, tzn. odseparowuje jednostkę, która nie może już dzielić doświadczeń z pozostawionymi kolegami. Moralna udręka odzwierciedla jej przywiązanie do heroicznego obrazu samej siebie. Musi ona (tzn. jednostka) krok po kroku dojść do bolesnego wniosku, że stworzyć moralnie wartościowe dzieło i zarazem zachować niesplamiony obraz swojej osoby jest rzadko możliwe.

AKLIMATYZACJA

Po latach wygnania człowiek próbuje sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy nie żyje się na wygnaniu.

PRZESTRZEŃ

Wyobraźnia, zawsze przestrzenna, wskazuje na północ, południe, wschód i zachód od pewnego centralnego, uprzywilejowanego miejsca, którym jest przypuszczalnie wioska naszego dzieciństwa czy nasz powiat. Jak długo pisarz mieszka w swoim kraju — uprzywilejowane miejsce, kółko się rozszerzając, utożsamia się z całym krajem. Wygnanie przesuwając ten ośrodek, a raczej tworzy dwa ośrodki. Wyobraźnia odnosi wszystko do otoczenia, tam daleko, w moim wypadku gdzieś na europejskim kontynencie, a nawet dalej, wyznacza cztery główne kierunki, jak gdyby ciągle tam stał. Zarazem północ, południe, wschód i zachód są uzależnione od miejsca, w którym piszę te słowa. Dlatego zawsze pozostałem mieszkańcem mojego rodzinnego kiejdańskiego powiatu, to było centrum świata dla mnie, ale równocześnie mieszkając w Kalifornii musiałem borykać się z tym, że północ, południe, wschód i zachód są determinowane przez miejsce, gdzie mieszkam i piszę.

„kiedy jechałem od gór Siedmiogrodu” wiedzą, że sięgam nawet do XVI wieku i identyfikuję się z arianinem, który z mojego rodzinnego powiatu jedzie do Siedmiogrodu, do swoich współbraci wyznaniowych).

CIENIE NA ŚCIANIE

Mówi się, że nasza planeta stopniowo, ale nieodwołalnie wkracza w erę zjednoczenia stworzoną przez technikę, higienę i zanik analfabetyzmu. A jednak wolno podtrzymywać i przeciwną opinię, w pełni uzasadnioną, jak o tym można przekonać się na wygnaniu. Pisarz, który mieszka w obcym kraju przynosi wiedzę o geograficznym obszarze, z którego pochodzi, jego historii, ekonomii, etc. Jest on czuły na każdą informację o tym, co tak dobrze zna, czy dostarczoną przez książki, pisma czy telewizję. To prowadzi go do odkrycia jak powstają nowe podziały między ludźmi. Sto lat temu zwykli ludzie nie znający odległych regionów globu po prostu umieszczali je w świecie legendy lub przynajmniej egzotyki. Dzisiaj jednak, jak mi się zdaje, dano im środki pozwalające objąć równocześnie miejsca i wydarzenia na całej ziemi. Jednak w zestawieniu z wiedzą przybyłą, wiadomości i raporty o krainie jego pochodzenia okazują się całkowicie mylne. Wielokrotna suma tych zniekształceń, wkraczających między przekaz i fakt, osiąga astronomiczne proporcje. Przypowieść Platona o jaskini, dotychczas dyskutowana na filozoficznych seminariach, zyskuje również bardziej praktyczne znaczenie. Jak pamiętamy, więźniowie w niej przykuci nie mogą nawet ruszyć szyją i zdolni są tylko widzieć ścianę przed sobą. Na ścianie te rzucane są cienie, które biorą za rzeczywistość. Przybysz zastanawia się, czy mógłby przekonać czytelników ga-



Wspominałem na początku, że procesy polityczne ujawniają prawdę o mechanizmach władzy państwowej. Ma się rozumieć, że nie chodziło o prawdę — absolut, której od wieków poszukują dostojni filozofowie. I nie znajdują. Chodzi o stan faktyczny; o oparte na badaniach diagnozy, które rozpatrujący sąd musi stawiać. W trakcie tych czynności ujawnia się despotyczny bądź demokratyczny charakter władzy. Sądzeni są przeciw ludzi, którzy kwestionują prawa państwa jako aparatu przynusu; kontroli nad społeczeństwem. A zatem — i prawa sądów, będących jedną z podstawowych części tego aparatu. Rzecz teraz w tym, czy w trakcie dochodzenia dąży się do udowodnienia winy — udokumentowania tego, że podsądni służyli fałszywej idei — czy też tylko jej stwierdzenia? W przypadku drugim ujawniają się tendencje totalitarności.

W Polsce okresu międzywojennego siłami zrodzonymi w odpowiedzi na próby totalitarności ustroju były związki demokratycznych partii politycznych. Znaczącą rolę odgrywała w nich lewica robotnicza, a szczególnie ruch marksistowski. Procesy komunistów — masowe w latach trzydziestych, świadczą o rosnącym znaczeniu nowej ideologii, o jej wrastaniu w utrwalały przez stulecia porządek społeczny oparty na własności prywatnej.

Ale dla zrozumienia tej refleksji nie wystarczy spojrzenie na stosunek oficjalnego aparatu władzy wyrażony — bez osłonek — w przedstawianych relacjach z procesów. Niezbędny jest uwzględnienie kontekstu działania partii komunistycznej w tamtym okresie.

Obszar działania KPP zdeterminowany był przede wszystkim pozycją partii w międzynarodowym ruchu komunistycznym reprezentowanym przez III Międzynarodówkę. Stąd, interes międzynarodowego proletariatu w pierwszym okresie, a później wierność zasadom obowiązującym na tym forum (nie zawsze szły one w parze z interesami klasy społecznej, której partia była ideologicznym reprezentantem) był wartością nadrzędną.

Upraszczając nieco sprawę można powiedzieć, że mieliśmy w kraju do czynienia przed wojną z dwoma rodzajami procesów politycznych. Z jednej strony przed sądem stawali ci, którzy akceptowali burżuazyjne zasady funkcjonowania państwa, nie godząc się jednocześnie na formy sprawowania władzy (najbardziej reprezentatywny jest tu proces brzeski). Z drugiej strony — komuniści, będący istotnym zagrożeniem zastanego porządku; ludzie, mający za sobą idee wyrażające marzenia całych pokoleń, ale jednocześnie realizujący te idee drogą nie wojną od błędów i wykrotów.

W publicznych lat pięćdziesiątych mocno wyarte zostały zwroty o klasie robotniczej dążącej do zajęcia należnego jej w historii miejsca, o lekce — mających często formę tragicznych doświadczeń, jakie ta klasa zebrała. Faktem jest, że członkowie KPP trafiali też do więzień wykonując zadania zlecane im przez aparat sprawujący funkcjonowanie nowej taktyki. Często obcej, wypaczającej zasady marksizmu, czy leninowskie normy życia partyjnego.

Całą KPP w pierwszych latach niepodległości decyzje Międzynarodówki Komunistycznej stawały w bardzo trudnym położeniu. I tak, już na początku lat dwudziestych komuniści polscy wypowiedzieli się przeciwko włączeniu do Polski Śląska. Uchwała zapadła z inspiracji tej części Międzynarodówki Komunistycznej, która w ten sposób chciała wesprzeć Niemiecką Partię Komunistyczną, silniejszą liczebnie od KPP i reprezentującą bardziej doświadczonego proletariatu. Negatywne skutki tego podporządkowania racji narodowych interesom międzynarodowym klasy robotniczej jednak pozostały. Prosty robotnik nie znając, i nie uznając takich prawideł gry rozumował logicznie: — Komunisci chcą oddać Śląsk Niemcom. Tak też fakt ów przedstawiła burżuazyjna prasa.

A przecież sprawa Śląska, to nie jedyny błąd tamtego okresu. Poważne konsekwencje dla partii miało

dogmatyczne stanowisko w sprawie samookreślenia Zachodniej Białorusi i Ukrainy. Trzymano się go, mimo że zmianie ulegała sytuacja wewnętrzna kraju i opadła fala rewolucyjna w większości państw europejskich.

Polska, jako państwo odrodziła się na gruncie wartości uświęconych tradycją. Przeciwnieństwo się tym samym mechanizmom regenerującym naród i państwo groziło politycznym samounicestwieniem. KPP głosiła konieczność walki o Polską Republikę Rad, a to sugerowało dążenie do przyłączenia — dopiero co odrodzonego kraju — do ZSRR. Błędem była — jak się okazało — dobrowolna rezygnacja z szukania sojuszników na lewicy, grupującej radykalne elementy burżuazyjne i liberalną klasę robotniczą.

Błędy w sprawie sojuszy zneutralizowano dopiero w latach trzydziestych, w okresie walki o front ludowy. Ale i wówczas w dokumentach stwierdzano, że jest to posunięcie tymczasowe, przyjęte dla celów taktycznych. Przeciwnicy komunistów natychmiast ten fakt wykorzystali, oskarżając KPP o dwulicowość.

ZENON PIECHOCIŃSKI

Skazani na trzy wieki

W okresie Centrolewu kierownictwo KPP przyjęło za cel swego działania... walkę z Centrolewem. Teorię walki z socjalfaszystycznym realizmem poprzez rozbijanie poszczególnych partii od wewnątrz, co również rodziło nieprzychylnie nastroje. Nie bez znaczenia była także całkowita laickość nowej ideologii. Odstąpiła ogromną część robotników i masy chłopskie, dla których katolicyzm był synonimem polskości. Ponadto wschodnie tereny kraju miały za sobą nie najlepsze doświadczenia przeprowadzanej tam w 1920 roku kolektywizacji.

Działający w tych warunkach Łomżyński Okręg KPP obejmował powiaty: Kolno, Łomża, Ostrołęka, Ostrow Mazowiecka, Szczuczyn i

Wysokie Mazowieckie. Stanowiło to blisko 29 proc. obszaru województwa białostockiego i 32 proc. jego ludności. Organizacja od początku swego istnienia podporządkowana była bezpośrednio Komitetowi Centralnemu Partii w Warszawie.

W roku 1919 organizacja w Łomży kierował Komitet Rejonowy, chociaż — jak pisał Józef Kowalczyk w pracy „KPP w okręgu łomżyńskim w latach 1918—1939” — pojęcie takie w pragmatyce partyjnej nie istniało. Na czele komitetu stali: murarz Jan Wityński, Henryk Turalski (którego proces relacjonowaliśmy), Leon Gabrys i Józef Remiszewski. W latach dwudziestych, szczególnie po wojnie „polsko-bolszewickiej”, tutejsi działacze przeszli do całkowitej konspiracji. Ale na początku lat trzydziestych liczba komórek KPP w okręgu zwiększyła się do 14, w połowie 1932 roku było ich 72. W roku 1933, jesienią, do partii należały 352 osoby.

14 marca 1919 roku, na kolejnym posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego nastąpił frontalny atak na komunistów. Tego dnia Kazimierz Lutosławski w imieniu Związku Sejmowego Ludowo-Narodowego i Polskiego Zjednoczenia Ludowego zgłosił w trybie nagłym wniosek „w sprawie zwalczania agitacji bolszewickiej i uniekształcenia órodków bolszewizmu czynnego w Polsce [...]”. Rozmawiałem — powiedział — w tej sprawie z postaciami z PSI i Narodowego Związku Robotników. Wszyscy zgodzili się, że istnieje konieczność uchwalenia takiej ustawy.

Motywy tego wystąpienia były czysto osobiste. Kazimierz Lutosławski — twórca polskiego skautingu, autor wstępu do Konstytucji Marcowej — stracił w okresie Rewolucji Październikowej dwóch braci oskarżonych w Rosji Radzieckiej o fałszowanie dokumentów. — Polsce — wołał — grozi rewolucja. Kraj zalewa literatura antypolska. Granicę przekraczają różni masi wyrotowcy i agitatorzy. Proponuję uchwalenie apelu do rządu, aby ten przedsięwzięł radykalne środki zmierzające do wykrycia i obezwładnienia órodków tej działalności. Trzeba unieść możliwie im druk i rozpowszechnianie zbrodniczej literatury...

— Propozycja księdza jest nie do przyjęcia — powiedział Jan Stapiński. — Dawałaby zbyt duże prerogatywy policji... A przecież już zdarzają się przypadki bezpodstawnych aresztowań. Kompromitujące przypedki.

— A jakże książe — odpowiedział Ignacy Daszyński — a jakże. Od razu na szubienicę... chrześcijanie...

— Socjaliści polscy — stwierdził natomiast Kazimierz Czapinski — zasadniczo różnią się od komunistów. Odrzucają hasło Lenina o przejęciu całej władzy przez rady. Ale odrzucają też drakońskie metody walki z ruchem. Są za poszanowaniem przeciwników. Nietolerancja prowadzi do eskalacji órodków. Już teraz reakcja usiłuje objąć represjami cały ruch lewicowy.

— Ustawa taka zwalczałaby tylko skutki, a nie przyczyny radykalizacji mas. Bo źródłem niepokojów; to na czym wyrasta u nas komunizm jest głód — powiedział Andrzej Waleron.

Obawy posłów sprawdziły się w okresie sanacji, gdy wprowadzono w życie ustawy o możliwości skazania na odosobnienie w drodze decyzji administracyjnych — gdy utworzono obóz w Berezie.

Wówczas jednak Sejm nie usankcjonował bezprawia. Ale na wniosek Lutosławskiego projekt ów przesłano do zaopiniowania sejmowej Komisji Administracyjnej. I ten fakt był już ciosem w partię. KPP sama oceniła to jako aprobata dla delegacji partii.

Wniosek ów nigdy już pod obrady Sejmu nie wrócił, ale jego sformułowanie zaważyło na życiu politycznym dwudziestolecia międzywojennego. W roku 1920 wydano ustawę o stanie wyjątkowym. Działanie tej ustawy w części dotyczącej komunistów przedłużało się do roku 1932. W lutym 1921 r. wydano sądom Tomasz Dąbala — pierwszego posta komunistycznego, którego na wnio-

sek władz prokuratorskich pozbawiono immunitetu, pod zarzutem nawoływania na wiecach do tworzenia rad delegatów robotniczych. Nawiasem mówiąc, zachowano wówczas działanie ustaw dekretu carskiego z 1903 roku, pruskiego z 1871 i austriackiego z 1852!

Po roku 1920 władze policyjne przystąpiły do metodycznego, systemowego niszczenia działającej w podziemiu partii. Wydzielono w tym celu specjalne służby, ukatynowali się konfidenci. Gromadzono dokumenty uzyskiwane w trakcie rewizji, kontrolowano przesyłki pocztowe adresowane do ludzi będących pod „opieką” służby bezpieczeństwa. Niezwykle starannie prowadzono kartoteki działaczy komunistycznych, skrupulatnie odnotowywano miejsca pobytu. Szły na ten cel poważne środki z budżetu państwa.

Partia ponosiła coraz dotkliwsze straty. W roku 1925 policja aresztowała cały skład osobowy 8 komitetów okręgowych. 2 czerwca tego roku w jej ręce wpadła cała „technika” KPP. Podjęto wówczas decyzję o przeorganizowaniu szeregow. Poszczególne komórki głęboko zakonspirowano. Wydano pierwsze wyroki na prowokatorów. Podziało to odstraszało na zdrajców, ale też posłużyło przeciwnikom do oskarżenia komunistów o terroryzm i bandytyzm oraz wysunięcia żądań do Sejmu o zwiększenie w budżecie wydatków na policję polityczną.

Wyroki za „komunę” były wysokie. Skazywano za samo podejrzenie o przynależność do partii. W 1929 roku, na przykład, skazano w procesach komunistycznych 984 osoby, łącznie na 3.078 lat.

Wszystkie niepokoje w najnowszym dziejach Europy poprzedzane były procesami politycznymi. Przed sądami strzegącymi nienaruszalności starego porządku stawali jego przeciwnicy. Ludzie skazani przed ogłoszeniem wyroku, bo oddani do dyspozycji instytucjom rozdzielającym sprawiedliwość według norm ustanowionych przez system społeczny, który chcieli obalić.

W typowych procesach politycznych nigdy nie zapadały wyroki uniewinniające. Byli podsądni — to i paragraf musiał się znaleźć. Nawet wtedy, gdy powoływano się na mandat większości, na służbę prawdzie i na sprawiedliwość. Jakiej sprawiedliwości to inna kwestia. Swego rodzaju odpowiedzią na to pytanie może być okrzyk pewnego barona, który wysłuchawszy: „Sprawiedliwego wyroku wydanego przez lud francuski” miał zawołać: — Słyszałem tu słowo — lud. Czyżby chodziło o moich dobrych ludzi, których zachęcałem do pracy przy pomocy bata? Jeśli tak to sądzę, że odpląć mi o ni tym samym.

— Lepiej — odparł sędzia i skazał barona na gilotynę.

Szerzej problematyka ta jest omówiona m.in. w następujących materiałach: Józef Kowalski — „Trudne lata” (Warszawa 1966 r.); „Z pola walki” — roczniki 1956—1978; Roman Jabłonowski „Wspomnienia 1905—1928” (Warszawa 1962 r.); Józef Kowalczyk „Komunistyczna Partia Polski w Okręgu Łomżyńskim 1919—1938” (Warszawa 1975 PWN); Józef Ławnik „Represje policyjne wobec ruchu robotniczego” („Książka i Wiedza” 1979 r.); Stenogramy Sejmowe z 1919 r.

dokumenty





16.07.1881

18.00. Studio Zjazdowe
18.50. Dobranoc.
19.00. „Sonda” — „Biceps”.
19.30. Dziennik Telewizyjny i Studio
Zjazdowe.
19.30. Dziennik Telewizyjny i Studio
Zjazdowe.
20.15. „Komisarz Moulin” — „Sto tysię-
cy słone” — film kryminalny.
21.40. Pegaz.
22.10. Dziennik i Studio Zjazdowe.

PIATEK
PROGRAM I 17.07.1981

PROGRAM II

18.55. Program dnia.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Da Capo” — program publiczny-
czno-muzyczny.
21.05. „Wynalazca poszukiwany”.
21.35. 24 Godziny.
21.45. „Uśmiech spod parasola”.
22.15. „Horyzont” — „Energia atomowa
za i przeciw”
22.40. W Starym Kinie — „Złudzenia
życia” — dramat produkcji angielskiej;
ekranizacja powieści Archibalda Croni-
na pt. „Cytadela” zrealizowana w 1938
roku.

18.07.1981

NIEDZIELA
PROGRAM I **19.07.81.**

sze opowiadanie światła", reż. Stefan
 Szlachtycz.
 18.30. Reportaż filmowy.
 19.00. Wieczorynka.
 19.30. Dziennik Telewizyjny.
 20.00. Czarny tulipan — francuski film
 kostiumowy.
 21.45. Sportowa niedziela.
 22.15. Piękne głosy — Ryszard Karczy-
 kowski.

PONIEDZIAŁEK **20.07.81.**
PROGRAM

PROGRAM II

18.55. Program dnia.
19.00. Program lokalny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Kronika Uniwersjady.
20.45 — 22.45. Spotkajmy się raz jeszcze.
CZE.

owe.
: Eugene

PROGRAM II

SRODA
PROGRAM I

PROGRAM II

Łomża, kino „Pazdziernik”; 18-13 VII
— „Powrót człowieka zwanego koniem”,
prod. USA (od lat 15); 19-21 VII — „Klucze
do miłości”, prod. weł. (od lat 15);
**22-24 VII — „Panowie dobiecie do żo-
 ły”, prod. franc. (bez ograniczeń).**
Ciechanów, kino „Meteor”; 16-17
VII — „Pojedynek”, prod. ang. (od lat
15); 18-10 VII — „Z przyrzeczeniem oka”,
prod. franc. (od lat 18); 21-22 VII —
„Stawiam na trzynastkę”, prod. CSRS
(od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza”: 16 VII — „Sąnotnik”, prod. franc. (od lat 15); 18—19 II — „Szantaż”, prod. ang. (od lat 18); 2—23 VII — „Uśmiech”, prod. USA (od lat 18).



**Park Etnograficzny Północno-wschod-
lego Mazowsza im. Adama Chętnika w
Łowogrodzie, czynny codziennie (z wy-
jątkiem poniedziałków i dni poświątę-
nych) w godz. 9.00—18.00. Wystawy:**



Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: spotkanie z Jacekiem Ułajem (w klubie „Bonar”), 18 i 19 VII, godz. 19.00; Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu” — maraton filmów grozy, 19 VII, godz. 10.00 i 12.00; kabaret „Bom-ba” (w klubie „Bonar”), 21 i 22 VII, godz. 20.00.



Z konkursowej teki „Zdarzeń”.

z Łomży

W Łomży od pierwszego lipca "działa" grupa studentów inżynierii środowiskowej z Politechniki Warszawskiej. Działą w cudzym łowie, ponieważ nie stworzono im warunków do pracy. Ich zadaniem jest badanie metody BZT5 rzek wojewódzkich pod względem zanieczyszczenia ściekami przemysłowymi. Jest to zadanie o tyle istotne, że san-epid nie zawsze ma możliwość jego wykonania. Istotą też studentom przypadła robota ważna i pożyteczna nie tylko dla nich samych, ale również dla ochrony środowiska w Łomżyńskiem. Do każdego badania potrzeba około 0,5 litra wody z jednego ujęcia. Sprawa podstawowa dla zebrania próbek jest oczywiście kwestia odwiezienia

Nowogród, kino „Ziemowit”: 18–19 VII – „Przygoda arabska”, prod. ang. (bez ograniczeń); 21–22 VII – „Cma”, prod. pol. (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”:
16—17 VII — „Saturn 3”, prod. ang. (od
lat 12); 18—19 VII — „Bądź biogostawio-
na”, prod. bulg. (od lat 15); 21—22 VII —
„Barocco”, prod. franc. (od lat 18).

Zambrów, kino „Kosmos”: 16-17 VII — „Szkarłatny pirat”, prod. USA (od lat 15); 18-19 VII — „Ciosy”, prod. pol. (od lat 15); 20-21 VII — „Trzy dni Kondora”, prod. włosk. — USA (od lat 18); 22-23 VII — „Fedora”, prod. RFN (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, Izba tkaczy-artystów ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerz z wystawą obrazującą przemianę żywności, przechowywanie żywności, z starym drewnianym kłanem i narzędziami bratyni, 2) W Dwor-ku z Brzózki wystawa archeologiczna "Pradzieje Nowogrodu", 3) W świąt-ku Baranowa wystawa "Adam Chetnik -- życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęconych) w godz. 9.00–18.00, w niedziele i święta w godz. 11.00–19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe. 2) „Zintegrowane metody ochrony roślin” (wystawa dawnych i współczesnych środków ochrony roślin). 3) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 4) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnetrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. Wystawa czasowa: „Kwiaty” – malarstwo Jana Kulikowskiego.

**Miejsko-Gminny Dom Kultury w Gra-
jewie: poranek filmowy dla dzieci, 16
VII, godz. 11.00: wystawa prac piastyków
— amatorów**

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: „Czerwony Kapturek zaprasza dzieci na popołudnie z bajką” — impreza dla dzieci, 17 VII; „Wczasowe spotkania z kulturą” (estrada nad Jeziorem), 18 VII; wystawa malarstwa plastyczki — amatorki Stefani Matysiewicz.

Gminny Ośrodek Kultury w Szczecynie: „Moja ojczyzna” — konkurs rysunkowy dla dzieci, 16 VII; wystawa pokonkursowa (na stadionie), 22 VII.

Gminny Ośrodek Kultury w Szepietowie: festyn ludowy, 22 VII.

nauka tańca dla dzieci, 16 VII, godz.
17.44: pokaz gimnastyczny i taneczny 22

„Ulica w Łomży” — pocztówka niemiecka
z 1915 r.
Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegien-

Wojciech Bialecki — „Łoś z Czerwonego Bagna”.

Salon wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00 — 18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00); wystawa malarstwa Andrzeja Szufarskiego

laboranta na miejsce, skąd wezmą materiał do analizy. W gestii szefostwa SAN-u pozostawało zorganizowanie dla nich samochodu służbowego, którego do tej pory nikt nie widział i chyba nie zobaczy. Środowiskowcy wybędą z miasta 21 lipca; jak na razie siedzą tutaj — i szczerze mówiąc — nie wiadomo po co. Minęło dwie trzecie turnusu. Rachunek jest prosty — zaprzeczono dwa tygodnie, w ciągu których nie zrobiono nic, gdyż ktoś nie wywiązał się ze swych zobowiązań. Straty są niewymierne, trudno bowiem przeliczyć na pieniądze to, co mogłyby dać te badania, ani tym bardziej strat moralnych, jakie ponieśli młodzi ludzie, którzy przyjechali na oboz naukowy z nastawieniem, że zrobią tu coś istotnego. Dodajmy, że przyjechali przecież z własnej, nieprzymuszanej woli, by udzielić w SAN-ie udokumentować własne możliwości i chęci dolażenia własnej cegiełki... Widać jednak warszawskiemu kierownictwu jest obojętny sens naukowej działalności studentów. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, który rozłożył działalność całego obozu. Nadal pływa ono w optyzmie, nie przejmując się absolutnie „drobnym” mankamentem i stara się utrzymywać na zewnątrz dobrą opinię. Wygląda na to, że obowiązującą starą zasadą dobrej fasady „keep smiling”.

MACIEK RÓŻYC

KONTAKT

MINI-KABARET
PIEKIEŁKO
PRZEDSTAWIA DRAMAT
ADMINISTRACYJNY
DIABELSKIE
OBRACHUNKI

Supraski zasiada za stołem przedziałnym w świetlicy zwanej w Trzecim i statystyce Ośrodkiem Kultury. Na sali obecne są wszystkie cztery diabły oraz jeden Element Antysocjalistyczny (napływowi). W szparze między drzwiami widać wyraźnie Petzającą Kontrrewolucję (obcą), za oknami słychać i czuć Alkoholika PKL (przejazdem). Nad stołem przedziałnym wisi transparent z hasłem: **PALENIE WZBRONIONE — TYM BARDZIEJ DYNAMITU.**

SUPRAŃSKI: Kulhedzy! Co mamy z palenja? Z palenja mamy żółte zemby i import nie na renke. Tak się u nas porobiło w klimacie, że im wiecej w kraju bibuły tym mniej bibulki. Agrokultura taka.

NARWIANSKI: I bardzo dobrze. Po innych krajach ludzie się męczą. Pigulki na obrzydzenie biorą, w klinikach za drogie pieniądze siedzą, a u nas na koszt państwa. I to nawet nie wszyscy siedzą, niektórzy stoją, jakby nie umieli czytać, a napisane jest, że nie ma. Na przykład jak pisze, że nie ma papierosów z filtrem, to ci co umieją czytać, to wcale nie stoją, tylko od razu odzwyczajają się od palenia papierosów z filtrem. A jak tak sobie posiedzą, posiedzą i pomyślą to i z filtrem nie palą.

BUŻANSKI: Ja tam teraz wierzę, w to co piszą. Jeden mój znajomy taki drobny, niepozorny wytwórca, to wierzył przedtem i potem. Przedtem to on wierzył w plastikowe znaczki, na których pisał Niech żyje, Do-Ro, Q też pisał i inne skróty np. CRZZ. Teraz też wierzy w to co pisze, ale pracuje jedną sztancą — **NIE MA.** I ma. Do kiosków „Ruchu” weźmą każdą ilość, w ogóle handel za tym szaleje. Ten mój znajomy mówi, że to jest zielone światło dla rzemiosła. Coś zielonego, to w tym jest napewno. Zwłaszcza, że on zaczął te znaczki przez Cepelię eksportować. Szły lepiej niż ciupagi, ale mu zabronili, bo każdy musi mieć po równo.

BIEBRZANSKI: I jest równo — co wystawało, to się wycięło. W moich stronach nawet zabytkowe parki wyrównali. Z czterdziestu zostały się cztery o charakterze ścisłego rezerwatu czarnej jagody na czarną godzinę.

DOJLICKI: Łomżyńska szkoła. Już i w Danii o nas głośno, bo ci, co w Grajewie budowali mleczarnię, cuda opowiadają, że niby oczyszczalni nie ma, Biebrza czysta, a pracownikom miesiąc w miesiąc wypłaca się milion złotych. Podobno pół miliona Duńczyków na rowerach wybiera się w te wakacje do Grajewa zobaczyć krainę mlekiem i miodem płynącą. W Grajewie już kombinują, czy by się z przetwórstwa mleka na turystykę nie przerzucić, może by się mleczarnia prędzej zamortyzowała.

SUPRAŃSKI: A Duńczyków powiadomili, że należy się połowe kartek ze sobom wziąć?

BUŻANSKI: Duńczyk wiezie ze sobą papierosy.

BIEBRZANSKI: Każdy po dziesięć paczek. Z filtrem i bez filtra.

NARWIANSKI: I znowu będzie wiadomo dlaczego kaszlemy, wymiotujemy i czujemy się źle, dlaczego mamy nieprzyjemny oddech, ziemistą cerę, drżenie rąk, palpitacje serca, duszności, odmę płuc, wrzód na żołądku, raka, dlaczego łysiejemy, tracimy uzębienie, psuje się nam wzrok, tracimy apetyt, pamięć, sen, radość życia, dlaczego boli nas gdy sikamy i jak bardzo palenie uspakaja nerwy.



Punk-rock to jest muzyka młodych Brytyjczyków niezadowolonych ze świata dorosłych, rządzonego przez pieniądze i karierę za wszelką cenę. Ruch punk zaś, którego idolami są młodzi gitarzyści i wokaliści preferujący prymitywną muzykę rozrywkową, to faszyzujący związek zbuntowanych przeciwko obcemu status quo. Muzyka punk przeniesiona została na grunt polski, co nie znaczy oczywiście, że mamy tu do czynienia z kolejnym obliczem sił antysocjalistycznych, bowiem naszym punkom chodzi wyłącznie o to, by poskakać na koncertach rockowych i wbić sobie ewentualnie agrafkę w ucho. Kryzys gospodarczy, który objawia się również w brakach i tego asortymentu, znacznie ogranicza działania polskich punków, zamiast tego mają oni natomiast zespół „Maanam” i diaboliczną Olę „Korę” Jackowską. Kora natomiast jest tak zarozumiała, iż zgadza się z określeniem jej muzyki mianem punk, ale twierdzi, że śpiewała to, co śpiewa, zanim w Wielkiej Brytanii zapanowała moda na punk. Wszystko się ze sobą sple-

MAANAM

ta, łączy, pokrywa, a „Maanam” chodzi w glorii twórcy przynajmniej jednego rodzaju muzyki rozrywkowej na świecie. Fakt, że Anglicy nie o tym nie wiedzą, nie ma najmniejszego znaczenia dla punkowej publiczności, która drze się na koncertach i dostaje obłędu, gdy Kora wykonuje taniec szatana.

Atrybuty tej muzyki — również przejęte od Brytyjczyków — to agrafka, koleczyk względnie pineska w ucho, krótko obcięte, pokolorowane włosy, niedbały i szokujący strój oraz bardzo wąskie, ciemne okulary. Na scenie nie robi to może wrażenia, ale nieprzyjemnie jest spotkać na ulicy kilkunastoosobową grupę nawiedzonych. Pogarda dla ludzi, substytut narkotyku w ustach i koncert „Maanam” — biedny obraz spolszczonego, faszyzującego, zbuntowanego przeciwko dobrobytowi małolata. Piosenki Kory składają się z beznadziejnie prymitywnej, opartej na dwóch, trzech prostych akordach

muzyki i tekstów, w których jeden wers powtarzany jest dziesięciokrotnie. Cztery wersy wystarczą, by powstała i stała się przebojem. Kora wykonuje punk-rock, chociaż bardziej tu chodzi o chwytliwy termin i ilość koncertów, niż filozofię mającą jakikolwiek związek z oryginałem. Czarno ubrana wokalistka w czarnych, wąskich okularach, w udzielanych gęsto wywiadach plecie brednie na każdy temat i dziw bierze, iż nie wypowiadała się jeszcze, co sądzi o czarnej magii, metempsychozie i parapsychologii. Szef zespołu „Maanam” powinien jej to zresztą podpowiedzieć. Jackowski bowiem miał kiedyś wielkie ambicje, grał muzykę inspirowaną kulturą Wschodu, teraz gra punk i liczy ilość koncertów. Jest to jedyna zresztą pocięta, bowiem brytyjskich punków zniszczył prześmyśły rozrywkowy, oferując im wielkie honoraria za nagrywanie płyt, uruchomił ponadto sklepy z atrybutami zbuntowanych. Punk zaczęli zarabiać szmal, upodabniając się w ten sposób do swoich tatusiów. (GTT...)



Kora i Maanam.

Zoologia

O TERMITACH

Królowa termitów jest powiększonym organem reprodukcyjnym o wydajności sześćdziesięciu jajeczek na minutę przez okrągły rok. Gdy królowa „wychodzi z obiegu” zostaje pożarta przez poddanych, co skutecznie rozwiązuje problem funduszu emerytalnego. Robotnicy termiowej społeczności są prawie ślepi, wobec czego nie pozostaje im nic innego jak tylko pracować, a żołnierze nie mogą się sami wyżywić i są całkowicie zdani na łaskę robotników. Ani strajków, ani puczów u termitów nie stwierdza się.

Antropologia

O FRANCUZACH

Z ankiety, jaką objęto dwa tysiące Francuzów w stanie małżeńskim, wynika, że żony odbywają stosunki płciowe częściej niż mężowie. Wniosek: Francuzki albo się chwala, albo cudzołożą. Skromności panów nie bierze się w rachubę.

Badacz problemu Maximilian Rohmer twierdzi, że słowa „galijskich kogutów” należy do przebrzmiałych. Autor dzieła pt. „Francuzi w łóżku” wyliczył, że przeciętna ilość stosunków dla młodych wynosi raz w tygodniu, dla starszych — raz w miesiącu, a powyżej 55 lat — tylko od wielkiego dzwonu. „Le Figaro Magazine” komentuje raport Rohmera jako ciós poniżej pasa zadany francuskiej renomie i turystyce.

SZARE MIRAŻE

muzyka: M. Jackowski
tekst: O. Jackowska

Tylko dlatego, że jesteś nikim
Możesz pogadać z drugim

człowiekiem
Życie bogate, pełne sekretów
W szarym człowieku, w szarym

człowieku.
Oszczędne słowa, twarze, uśmiechy
Nie mów za dużo szary człowieku
Choć jesteś nikim, takim pozostań
Szare sekrety dla mnie pozostaw.

Tysiące twarzy, setki miraży
To człowiek tworzy metamorfozy

Ich tajemnicą niech pozostanie
Co zwykłe jadasz na śniadanie
I czy w tygodniu kochasz się
Raz siedem, czy też pięć
Twój dom wśród setek innych

domów
Z szarymi drzwiami, z szarym
balkonem

Jeśli cię dręczą szare sny
Zapukaj do mych szarych drzwi

Tysiące twarzy, setki miraży
To człowiek tworzy metamorfozy

Sennik — przepowiednie niechybne

BANKNOTY OTRZYMywać

Balet widzieć — być na pogrzebie
Balkon — spełnione nadzieje; spaść z balkonu — niebezpieczeństwo
Balia — kłótnia w domu
Balsam wachać — przyjść do zdrowia
Bałwan ze śniegu — straty w interesie
Bałwany morskie — przykre zajście
Bałwochwalstwo popielniać — nie-szczęście
Bandyta — zatargi z sąsiadem
Bankrut — rychłe załatwienie interesów
Bankrutować — niespodziewane więzienie
Bankier — powodzenie
Bank — niespodziewany spadek
Banknoty otrzymywać — strata w handlu
Baran — nadzieja; słyszeć beczenie — strata i wstyd; zarżniętego widzieć — niesprawiedliwe cierpienie
Baraninę jeść — być świadkiem zabójstwa
Bartóg — wysokie dostojęstwo
Barszcz biały — zgryzota; czerwony — radość
Barometr — niehonorowy postępek
Baron — utrata kredytu
Baszta — przykra wiadomość
Barykada — odwrócenie niebezpieczeństwa
Basetkę widzieć — bankructwo
Bat — zatargi rodzinne
Bałog trzymać — smutek
Baterie widzieć — zamieszkanie w domu
Bawelnę prążyć — dobry byt

POKUSY

Andrzeja Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY